



WARSZAWA 2001

**ANDRZEJ  
„SŁOWIK”**

**Skarżyłem się grobowi...**

*Wstęp do niniejszej książki obiecał napisać znany polski polityk,  
jednakże po przeczytaniu tego woluminu stanowczo odmówił,  
a nawet zakazał jego wydania...*

Szanowny Czytelniku, rozpoczynasz czytanie książki, która mam nadzieję okaże się na tyle ciekawa, że doczytasz ją do końca. Jest to historia człowieka, który poprzez zbieg różnych okoliczności oraz realia ówczesnego systemu wkroczył na drogę przestępstwa i w tej chwili jest najbardziej poszukiwaną przez policję osobą w Polsce. Być może kompozycja książki i sposób narracji będą dla Ciebie zaskoczeniem, ale po wielu przemyśleniach postanowiłem zwracać się do Ciebie w pierwszej osobie. Mam nadzieję, że w ten sposób to wszystko, co zostanie tu napisane, będzie miało charakter bardziej osobisty i jednocześnie uwiarygodni wszystkie ujawnione historie. Pod wszystkim, co przeczytasz, podpisuję się osobiście. Za zgodność z prawdą wszystkich ujawnionych tu informacji ręczę słowem honoru, a ludzie, którzy mnie znają wiedzą, że słowo honoru „Słowika” jest wartością niepodważalną. Jednocześnie ujawnię tu fakty, o których wiem tylko ja i niewielkie grono wtajemniczonych osób, które swoim autorytetem poświadczą wiarygodność moich zwierzeń. Mam nadzieję, że ludzie ci, mając świadomość powagi wydarzenia i odpowiedzialności związanej z tym faktem, będą mieli odwagę nie tylko przyznać się do znajomości ze mną, a niejednokrotnie i przyjaźni, ale i w miarę swojej wiedzy potwierdzą moje słowa. Nie spodziewaj się, że przeczytasz kryminał o współczesnym polskim gangsterze. Bardziej zależy mi na obaleniu mitu bezwzględnego bandyty, na jakiego jestem kreowany przez policję i media, niż na zdobyciu jeszcze większego rozgłosu. Książka ta ma pokazać prawdziwe oblicze „Słowika”. Studiowanie Pisma Świętego i obcowanie z ludźmi wielkiej wiary, takimi jak ksiądz Kazimierz Korybut Orzechowski, mój duchowy przewodnik, pozwoliło mi powrócić na drogę uczciwości, co spróbuję pokazać na dalszych stronach tej książki. Chciałbym również wykorzystać to, że będąc człowiekiem

wolnym mogę swobodnie wypowiedzieć się, czego zostali pozbawieni moi koledzy aresztowani w tzw. sprawie pruszkowskiej. Niejednokrotnie przekonałem się, że w Polsce człowiek pozbawiony wolności, praktycznie nie ma żadnej możliwości swobodnej wypowiedzi czy obrony, a jego zeznania wykorzystywane są w stopniu wygodnym dla prokuratury i przebiegu śledztwa.

Książka ta momentami wyda ci się chaotyczna, ale ona taka właśnie ma być. Nie jest to kronika mojego życia, a jedynie zapis moich przemyśleń i refleksji, często powstających bardzo spontanicznie i pod wpływem emocji. Niech nie dziwią Cię nagłe zmiany tematu czy utrata wątku, ale książka ta wiernie oddaje chaos moich myśli i kręte ścieżki mojej duszy.

Moja historia rozpoczyna się pod koniec lat siedemdziesiątych w Stargardzie Szczecińskim - niewielkim mieście na Pomorzu Zachodnim. Patrząc z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że moja rodzina niczym nie wyróżniała się spośród tysięcy podobnych jej w ówczesnej Polsce. Ja również byłbym przeciętnym młodym chłopakiem, takim jak większość moich rówieśników, gdyby nie zamiłowanie do sportu i sukcesy, jakie w nim odnosiłem. Dzięki tym sukcesom byłem w swoim środowisku osobą popularną i lubianą. Sport dawał mi nie tylko popularność, ale uczył jednocześnie zdyscyplinowania, poszanowania ciężkiej pracy i umiejętności znalezienia się w grupie. Cechy te, nabyte w młodości dzięki uprawianiu sportu, pozwoliły mi w przyszłości przetrwać w najtrudniejszych chwilach mojego życia. To sport uczynił ze mnie człowieka silnego, potrafiącego poradzić sobie w trudnej rzeczywistości więziennej, nie dać się pozbawić człowieczeństwa i skrupułów. Być na tyle silnym i odpornym, aby po wyjściu z więzienia, będąc młodym niedoświadczonym życiowo człowiekiem, zdanym tylko na własne siły, móc poradzić sobie w otaczającej mnie rzeczywistości. Naznaczony piętnem kryminalisty i odrzucony przez chory system.

System, który nic mi nie dał, który wolał odrzucić młodego, zagubionego człowieka, niż mu pomóc.

W naszym społeczeństwie człowiek, który wszedł na drogę przestępstwa ma niewielką szansę, aby z tej drogi zejść. Więzienia to miejsca, gdzie skazani pozostawieni są sami sobie, bez szans na resocjalizację, gdyż takiej szansy są pozbawieni. To więzienia produkują przestępców z ludzi, którzy słusznie czy nie, tam trafili. Młody człowiek w wieku osiemnastu lat, bez ukształtowanego charakteru i doświadczenia życiowego, trafia do celi z ludźmi o wieloletnich wyrokach, wielokrotnych recydywistów odsiadujących kary za najcięższe przestępstwa. Takie właśnie środowisko kształtuje młodego, zagubionego człowieka. Więzienie ma mu zastąpić dom rodzinny, ma nauczyć go jak należy w życiu postępować, jak być prawym człowiekiem.

Jak już wcześniej wspomniałem byłem młodym, wesołym chłopakiem, kochającym życie, lubiącym zabawę i towarzystwo przyjaciół. Sukcesy w sporcie nobilitowały mnie w środowisku rówieśników, dzieci ówczesnych miejscowych prominentów zabiegały o moje towarzystwo. Do moich przyjaciół należeli syn posła na sejm, syn prezydenta miasta, dyrektora szkoły, w której się uczyłem. To oni zabiegali o moją przyjaźń, chcieli pokazywać się w towarzystwie najlepszego sportowca w mieście.

Wszystko wskazywało na to, że moje życie będzie inne od miejscowej rzeczywistości, wierzyłem, że wielki świat stoi przede mną otworem. Widziałem siebie na wielkich zawodach sportowych, mistrzostwach świata, olimpiadzie. Wygrywam, staję się sławny, podróżuję po świecie, poznaję sławnych ludzi. Bardzo w to wierzyłem i wiara ta dodawała mi sił do ciężkiej pracy na sali treningowej. Nigdy nawet w najczarniejszych myślach nie przypuszczałem, że to wszystko legnie w gruzy, przypadek sprawi, że moje życie przewróci się do góry nogami.

Gdy dzisiaj o tym myślę, to widzę w tym rękę opatrności, wolę Boga, który pokierował moim życiem w taki, a nie inny

sposób. Po latach wielki żal i rozgoryczenie ustąpiły wdzięczności. Zabierając coś, Bóg dał mi w zamian siłę i wiarę w siebie, zetknął z prawymi ludźmi, których być może nie dane byłoby mi poznać. Nauczył mnie sprawiedliwości. Czyniąc mnie przestępcą, dał mi jednocześnie dar rozpoznawania krzywdy ludzkiej i bycia sprawiedliwym. Nigdy nikogo nie zabiłem, nie skrzywdziłem biednego, na przeciwników wybierałem ludzi godnych bycia moimi przeciwnikami. Potrafię pomagać potrzebującym i skrzywdzonym przez los, dzielić się z biednymi. Wszystkie swoje winy odkupiłem wieloletnim więzieniem i nic nie jestem winien społeczeństwu, które niczego mi nie dało. Nie mam wyrzutów sumienia, a wręcz czuję się ofiarą chorego systemu, w którym przyszło mi urodzić się i żyć. Mam cichą nadzieję, że książką tą pomogę wielu podobnym jak ja, którzy oczekują sprawiedliwości i uczciwego osądu. Może książka ta pozwoli niejednemu uzyskać wolność duszy, dokonać rachunku sumienia i znaleźć dobro w swoim sercu.

Przypominam sobie dzień, w którym moje dotychczasowe beztrudne życie zmieniło się w pasmo klęsk i upokorzeń. Nic nie zapowiadało takiego końca. Była to jedna z wielu podobnych, letnich sobót, spędzanych na dyskoteci w towarzystwie rówieśników. Zwyczaj był taki, że w ciągu jednego wieczora przenosiliśmy się z miejsca na miejsce szukając dyskoteki, która będzie nam najbardziej odpowiadała. Całą paczką wsiadaliśmy do samochodu i jechaliśmy do następnej dyskoteki. Luksus posiadania samochodu w tamtych ciężkich czasach nie był dla mnie niczym niezwykłym. Jak już wspomniałem, obracałem się w kręgu dzieci ludzi bogatych i posiadanie własnego samochodu czy korzystanie z samochodu rodzica było w tym towarzystwie zjawiskiem normalnym.

Ten sobotni wieczór rozpoczął się podobnie jak inne. Bawiliśmy się w najlepsze. W pewnym momencie ktoś rzucił pomysł zmiany dyskoteki. Pojawił się jednak problem, kto ma prowadzić

samochód. Ktoś rzucił na stolik kluczyki, ktoś inny wskazał na mnie. Tylko ja byłem trzeźwy, wszyscy pozostali uczestnicy zabawy byli pod wpływem alkoholu. Nie miałem wyboru, nie mogłem odmówić. W oczach rówieśników uchodziłem za człowieka odważnego, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. Nie mogłem okazać się tchórzem. Zdawałem sobie sprawę ze swoich marnych umiejętności kierowcy. Jednak podjąłem ryzyko. Nie mogłem stracić wizerunku twardziela.

Tym razem mieliśmy jechać do oddalonego o 30 kilometrów Szczecina. Do malucha, który miałem prowadzić, weszło chyba sześć osób. Wszyscy weseli, hałaśliwi, pobudzeni wypitym alkoholem.

Była upalna, letnia noc 1978 roku, w światłach samochodu droga wydawała się prosta, a samochód bardzo łatwo się prowadził. W radiu głośno grała muzyka, ludzie śmiali się, wygłupiali, przekrzykiwali się nawzajem. Ktoś klepał mnie po ramieniu, ktoś inny wymachiwał rękoma. Śmiałem się razem z nimi, byłem szczęśliwy, czułem się pewnie za kierownicą. Nic nie zapowiadało zbliżającej się tragedii.

Na zakręcie straciłem panowanie nad samochodem. Wpadliśmy do rowu, auto kilkakrotnie koziółkowało. Jakimś cudem nikomu nic się nie stało. Z trudem wygramoliliśmy się z rozbitego samochodu i w pośpiechu oddaliliśmy się z tego miejsca.

Nikt z nas nie wpadł na pomysł, żeby wypadek zgłosić milicji. Każdy czuł się winny tego, co się stało. Była to nasza tajemnica, której nie chcieliśmy ujawnić.

Po miesiącu, gdy o całym incydencie przestawałem już myśleć, zostałem aresztowany. O szóstej rano obudził mnie dzwonek do drzwi. Okazało się, że to przyszła po mnie milicja. Mnie młodego, nigdy nie mającego do czynienia z milicją chłopaka, zakuto w kajdanki i na oczach przerażonych rodziców i sąsiadów wywleczono z domu. Potraktowano mnie jak groźnego bandytę, a nie jak młodego chłopca, który nigdy nie popełnił



żadnego wykroczenia.

Milicja odtworzyła przebieg wydarzeń, dotarła do uczestników wypadku. Okazało się, że auto było kradzione, o czym wcześniej nie wiedziałem. Złodziejem był syn posła, o czym dowiedziałem się później. Ale to nie on miał odpowiedzieć za kradzież. Przecież był synem posła. Być może gdybym wiedział to wtedy wieczorem, nie wsiadłbym do tego samochodu. Ale stało się inaczej. Wszyscy uczestnicy tamtej przejażdżki mnie obciążali winą za to, co się stało. O mojej winie przesądziły nie tyle ich zeznania, co fakt, że byli oni dziećmi miejscowych prominentów; prezydenta miasta, posła do sejmu, dyrektora szkoły, a koneksje ich rodziców broniły ich przed odpowiedzialnością. Za mną nie miał się kto wstawić. Moi rodzice nie zostali do sprawy dopuszczeni, byli to prości ludzie bez wpływowych przyjaciół. Nie stać ich było na wynajęcie adwokata. Mało tego, nikt nie zaproponował mi adwokata z urzędu, który mi się należał i który mógłby mnie obronić. Nie dociekano prawdy. Moje zeznania były bez znaczenia. Zostałem oskarżony nie tylko o spowodowanie wypadku, ale i o kradzież auta. Wyrok na mnie zapadł jeszcze zanim rozpoczęła się rozprawa sądowa. Wyrokiem sądu zostałem skazany na 1,5 roku więzienia i wysoką grzywnę. Wysłano mnie do aresztu śledczego na ulicy Kaszubskiej w centrum Szczecina. Nie poddawałem się. Ciągle mówiłem o swojej niewinności. Nie potrafiłem pogodzić się z wyrokiem i z tym, w jaki sposób zostałem potraktowany. Dla wychowawcy i psychologa więziennego byłem „trudnym”, „niewygodnym” przypadkiem. Ci tak zwani fachowcy podjęli decyzję wysłania mnie do najbardziej represyjnego więzienia dla małolátów - „Mielęcín”.

Teraz myślę, że gdyby wtedy znalazł się ktoś, kto potrafiłby właściwie ocenić moje postępowanie i wybrać karę adekwatną do mojego przewinienia, być może dzisiaj byłbym innym człowiekiem. Ale mnie nikt nie dał takiej szansy. Przedstawiciele ówczesnego zgniłego systemu wybrali najprostsze rozwiązanie, na

wiele lat pozbawili mnie szansy bycia normalnym człowiekiem. Już w areszcie śledczym miałem poznać przedsmak prawdziwego życia więziennego. Umieszczono mnie, jako piątego aresztanta, w dwuosobowej celi. Oznaczało to, że tylko dwie osoby, zazwyczaj o najstarszym „stażu” więziennym, mogły spać na łóżkach, pozostali trzej spali na materacach rozłożonych na podłodze. Jak w każdym więzieniu, obowiązywał tam niepisany kodeks zachowań, który ja w jak najkrótszym czasie miałem poznać.

I tylko od mojej postawy zależało, jaką pozycję w społeczności więziennej będę zajmował. Musiałem dokonać wyboru, czy przystąpię do ludzi „grypsujących” i dostosuję się do wszystkich reguł i zachowań, które przestrzegają, czy pozostanę wśród ludzi „niegrypsujących”. Miałem tydzień na podjęcie decyzji. Wbrew utartym stereotypom, grypsowanie to nie tylko swoisty język, gwara więzienna. To cały system zachowań, niejako kodeks honorowy, którego należy przestrzegać. Grypsowanie jako gwara więzienna, którą posługiwali się więźniowie, przywędrowało do Polski z Rosji. Był to język znany tylko więźniom. Był niezrozumiały dla straży więziennej i pozwalał swobodnie porozumiewać się skazanym w sposób niezrozumiały dla „klawiszy”. Z czasem grypsowanie jako sposób porozumiewania się traciło na znaczeniu, natomiast coraz większą wagę przywiązywano do grypsowania jako kodeksu zachowań w celi i poza nią. Przestrzeganie tych reguł pozwalało godnie przetrwać trudy wspólnego przebywania w ciasnej celi przez lata wyroku. Pozwalało zachować godność i człowieczeństwo i uszanować godność współwięźniów.

Regulamin więzienia nie gwarantował poczucia bezpieczeństwa. W celi o wymiarach dwa na trzy metry, w której przebywało ośmiu skazanych, musiały być ustalone zasady zachowania, dające gwarancję bezpieczeństwa i intymności. Obok zakazów agresji wobec współwięźniów, były to tak oczywiste zasady, jak na przykład zakaz załatwiania potrzeb fizjologicznych podczas

posiłków, mycie rąk po wyjściu z ubikacji, nie używanie obraźliwych słów wobec współwięźniów. Sprawą podstawową było zachowanie w tajemnicy tego wszystkiego, co działo się pod celą, o czym się mówiło. Nie wolno było „klawiszowi” czy wychowawcy zdradzić tajemnic spod celi, nie wolno było z nimi współpracować, witać się z nimi, okazywać im szacunku. Byli to ludzie, którzy trzymali nas pod kluczem, zabierali nam wolność, źle się do nas odnosili, dokuczali nam, bili nas. Tłumaczono mi, jakie korzyści niesie ze sobą grypsowanie. Dzięki grypsowaniu mogłem zachować honor. Gdy szedłem na „spacerniak” nie bałem się, że ktoś mnie opluje. Nikt mi nie zarzucił, że mam nieczyste sumienie. Grypsowanie nie było mi potrzebne do polepszenia sobie życia w więzieniu. Grypsowanie pozwoliło mi zachować godność i honor. Nikt mnie do tego nie zmuszał, nie namawiał. Sam dokonałem wyboru. Zawsze chciałem być w porządku.

Ludzie nie grypsujący to ludzie, którzy nie mieli czystego sumienia, nie potrafili zawsze zachowywać się honorowo. Albo byli konfidentami, zdradzali, co dzieje się pod celą, albo nie potrafili współżyć z innymi więźniami, nie szanowali ich godności. Nigdy nie było dla mnie ważne, czy ktoś grypsuje, czy nie. Dla mnie ważne było, abym nigdy nie był zmuszany do czegoś, czego nie chcę, co mi nie odpowiada, co jest wbrew moim zasadom. Zawsze traktowałem pobyt w więzieniu jako sprawę przejściową i przestrzegałem zasad tam panujących tylko w takim zakresie, jaki był mi potrzebny dla zachowania honoru. Chciałem zachować godność, człowieczeństwo. Bo „zeszmacić” się można było bardzo łatwo, tylko co w zamian? Człowiek idzie spać i płacze. Czuje, jakby umarł, próbuje się przed tym bronić. Jest to naturalny instynkt samozachowawczy, który wyzwała się w momencie zagrożenia. Służby więzienne popełniły kolejny błąd. Skierowano mnie na piąty pawilon, na którym odsiadawali kary najbardziej zdeprawowani młodzi przestępcy, wtórnie karani,

którzy mieli za sobą lata poprawczaka. Nikt nie pomyślał wtedy, żeby umieścić mnie w pawilonie dla młodzieży karanej po raz pierwszy, gdzie mógłbym kontynuować naukę. Nie trafiłem na oddział dla ludzi pracujących, o niższym rygorze. Trafiłem między naprawdę zdeprawowanych ludzi, pozbawionych jakichkolwiek skrupułów, dla których głównym celem w życiu było zostać jak najlepszym przestępcą. Pięściami musiałem walczyć o życie. Każdy dzień to była walka o przetrwanie. Powoli przesiąkałem atmosferą więzienia, zaczynałem myśleć innymi kategoriami. Pomimo woli stawałem się wyprodukowanym przestępcą. Jeszcze nie przekroczyłem bramy więzienia „Mielęcín”, a już zaczęto proces upodlania mnie, traktowania jak istotę niższego gatunku. I to w sposób dosłowny. Zawsze będę pamiętał ten dzień, kiedy na rampie w Szczecinie, skuty kajdankami, wraz z czterdziestoma innymi skazanymi młodymi ludźmi, zostałem wrzucony do specjalnie przygotowanego wagonu bydłowego i w takich warunkach ruszyliśmy w „podróż mojego życia” do więzienia „Mielęcín”. Za pokarm miał wystarczyć kawałek czarnego chleba, słonina i porcja soli dla każdego więźnia. Brudni i wycieńczeni z pragnienia, nocą dojechaliśmy do „Mielęcína”. Pociąg wjechał na specjalną bocznicę już na terenie więzienia. Gdy rozsunięto drzwi wagonu, w światłach reflektorów ujrzałem szpaler strażników więziennych z psami. Nieodparcie nasuwało się skojarzenie z oglądanymi w filmach scenami z obozów koncentracyjnych. Funkcjonariusze w czarnych mundurach, groźne, szarpiące się na smyczach wilczury w kagańcach i biedni, sponiewierani ludzie, pędzeni do komór śmierci. Ja miałem przebyć taką samą drogę i tylko nie wiedziałem, co czeka mnie na końcu tego szpaleru. Zaczął się bieg po życie. Ze wszystkich stron na moją głowę, kark, plecy spadały razy pałek „klawiszy”. Uderzenia były mocne, precyzyjne, zasłanianie się przed nimi nic nie dawało. I tylko jedna myśl - nie upaść, nie dać się skopać i zdeptać. Mnie

się udało. Pierwsze zwycięstwo w walce o przetrwanie. W gwarze więziennej było to tak zwane „przywitanie”. Służby więzienne demonstrowały swoją siłę i władzę. Już na początku chciano wybić nam z głowy jakiegokolwiek próby nieposłuszeństwa, buntu. Nie mieliśmy prawa do własnego zdania, nasze opinie były bez znaczenia, każde nasze działanie miało być pod kontrolą. Mieliśmy zachowywać się dokładnie tak, jak życzyli sobie strażnicy więzienni. Skrajnym rygorem próbowano wymusić posłuszeństwo. Od pierwszej chwili starano się każdym więźniem sterować. Różnymi metodami próbowano nakłonić więźniów nie tylko do posłuszeństwa, ale i do współpracy. Z każdego próbowano zrobić konfidenta, posłusznie zdającego relację ze wszystkiego, co dzieje się w celi. Ja miałem być poddany takiej samej procedurze.

Zostaję wysłany na pawilon numer pięć. Strażnik prowadzi mnie pod celę. Wchodzę, pytam, czy ktoś tu grypsuje, słyszę odpowiedź twierdzącą. Klawisz zamyka za mną celę. W tym momencie otacza mnie ośmiu więźniów i oznajmniają mi, że oni są „festami”, że tu się nie grypsuje i że ja również nie będę grypsował. „Feści” to grupa więźniów, którzy współpracowali z administracją więzienną i którzy robili z więźniami to, czego nie wolno było strażnikom. To oni na polecenie „klawiszów” bili nieposłusznych więźniów, próbowali ich rozgrypsować, upodlić, zmusić do współpracy. Gdy zdałem sobie sprawę z tego, w jakiej znalazłem się sytuacji, musiałem szybko zareagować. Nie mogłem walczyć z nimi ośmioma, musiałem jak najszybciej stamtąd się wydostać. Nie mogłem się im podporządkować, stracić honoru, dać się „zeszmacić”. Musiałem się ratować. I to nie chodziło już nawet o to, czy ja będę grypsował, czy nie, ale muszę być człowiekiem honorowym. Wiedziałem, że moje życie nie kończy się na więzieniu. Kiedyś stąd wyjdę, ale wyjdę jako człowiek honorowy Nie mogę pozwolić odebrać sobie tych

wszystkich wartości, które wpoił we mnie mój ojciec, dla którego honor i godność człowieka były najważniejsze.

Nie mógłbym żyć ze świadomością, że jestem „szmatą”.

Wolałem odebrać s` lobie życie, niż dać się „zeszmacić”.

W akcie rozpaczry rzuciłem się w okno. Posypały się szyby, mnie zalała krew z odniesionych ran. Osiągnąłem taki efekt, że zaskoczeni współwięźniowie wezwali „klawisza”. Na nim to, co zobaczył, nie zrobiło większego wrażenia. Zaczął drzeć się na mnie, żebym nie zakłócał spokoju, że zaraz dołoży mi do zdrowia i wrzuci mnie do izolatki. Najwyraźniej czekał, że ja się przestraszę, a współwięźniowie „zgnoją” mnie do końca i całe więzienie dowie się, że ja j u ż nie grypsuję, że zostałem złamany, straciłem honor. Zaczął straszyć mnie „atantą”, czyli specjalnym oddziałem strażników, którzy tylko czekali na sygnał, żeby zaprowadzić porządek. Nie przebierali w środkach. Biciem i znęcaniem wymuszali na więźniach posłuszeństwo.

Widzę, że to naprawdę nie przelewki. Jestem cały zakrwawiony, strażnik drze na mnie mordę, współwięźniowie tylko czekają, żeby rzucić się na mnie i mi dowalić. Chwytam duży kawał szyby i wbijam go sobie w brzuch. W gwarze więziennej jest to tak zwana „szabla”, czyli możliwie jak najdłuższy kawałek szyby, często w kształcie ostrza noża czy wręcz szabli.

To nie skutkuje. Chwytam leżącą na stole łyżkę, łamię ją na pół i połykam rączkę. Zaczynam pluć krwią, przewracam się, jestem bliski omdlenia. Strażnik przynosi z apteczki wodę utlenioną i wlewa mi do oka. Ból jest taki, że trupa postawiłoby na nogi. Wyję z bólu. A strażnik na to mówi ze spokojem w głosie - O k..., symulant! - I zaczyna kopać mnie po brzuchu, gdzie mam „połyk”. Karetką pogotowia zostałem zawieziony do szpitala „wolnościowego”, gdzie zostałem zoperowany. Po kilku dniach przewieziono mnie do szpitala więziennego w Gdańsku. Stamtąd po miesiącu wróciłem do „Mielęcina”, ale j u ż nie próbowano ze mną eksperymentować, tylko wsadzono mnie do

normalnej celi, gdzie nikt mi nie dokuczał, nie zabierano mi moich ambicji, poglądów, człowieczeństwa. Po pewnym czasie trafiam na „brzózki”. Tak w gwarze więziennej nazywał się szósty pawilon, gdzie były izolatki. Kierowano tam więźniów, którzy popełnili najcięższe wykroczenia wobec regulaminu więzienia. W czasie odsiadki tego wyroku byłem na „brzózkach” wielokrotnie. Zawsze buntowałem się przeciwko rygorom więziennym, nie dawałem zmusić się do robienia czegoś, co mi nie odpowiadało. Ale za pierwszym razem trafiłem tam niezasłużenie.

W więzieniu wszystkie okna od zewnątrz zasłonięte są tzw. „blindą”, czyli specjalną matową szybą, która przesłania widok. Żeby móc zobaczyć skrawek nieba, słońce, pole, las, cokolwiek, co kojarzy się z wolnością, więźniowie wybijali „blindy”. W naszej celi też ktoś to zrobił. Nawet nie wiedziałem kto. Nawet mnie to nie interesowało. Pobyt w więzieniu nauczył mnie nie interesować się rzeczami, które nie były mi potrzebne. Potrafiłem wyłączyć się z życia celi, skoncentrować się tylko na swoich myślach. Kiedy byłem zmęczony, kładłem się spać. Nie interesowało mnie, co dzieje się w celi. A zawsze działo się wiele. W celi nie ma dnia i nocy. Dwadzieścia cztery godziny na dobę coś się dzieje. Nieważne, że jest noc i światło jest zgaszone. Są na to sposoby. Ktoś podłącza się do żarówki i po kryjomu gotuje herbatę; ktoś w nocy pisze list do narzeczonej, bo ma akurat na to ochotę; ktoś płacze, że mu pół wsi żonę „wygrzmociło”; ktoś gra w karty; w kącie się „dmuchają”; ktoś wybija „blindę”. Nie dało się stale uczestniczyć w życiu celi. Kiedyś trzeba było spać. Pomimo tych wszystkich hałasów potrafiłem się wyłączyć i spać. Budzę się rano, a w oknie nie ma „blindy”. Nie obchodzi mnie, kto to zrobił, bo nie jest mi to potrzebne. Na apelu porannym oficer dyżurny, przyjmujący apel, pyta kławisza, który otwiera cele i składa raport:

- Jaka to cela?
- Grypsująca.

Wskazuje na mnie, pierwszego z brzegu więźnia, i pyta:

- Kto wybił „blindę”?

- Nie wiem - odpowiadam zgodnie z prawdą - może pękła w nocy od mrozu, po prostu nie wiem.

- Napisać raport - mówi do klawisza.

Idę do naczelnika więzienia. Pamiętam do dzisiaj, nazywał się Cisek, pułkownik straży więziennej, naczelnik z dwudziestoletnim stażem. Nie chciał nawet przez chwilę mnie wysłuchać, pozwolić się wytłumaczyć.

- Miesiąc izolatek macie.

- Panie naczelniku, ale ja przecież ...

- Czy ja pozwoliłem ci mówić?, „wypierdalaj” stąd. Na „brzózki” z nim!

Dostaję jeden koc i idę na „brzózki”. Jest zima. Okno w izolatce jest wybite. Do środka zawiewa śniegiem. Cały sufit pokryty jest taką warstwą lodu, że można by jeździć na łyżwach.

Gdzieniegdzie zwisają sople. Koc jest sztywny jak arkusz blachy, przy odchyłaniu trzeszczy, jakby za chwilę miał się złamać. Po pierwszej nocy budzę się cały sztywny i przemarznięty do szpiku kości. Wyprowadzają mnie na spacer. Gdy wracam, na kocu leży „berło”, czyli szczotka do czyszczenia „kibla”. Chcą sobie ze mnie zadrwić, pokazać mi, jak im jestem małym człowiekiem, jak łatwo można mi dokuczyć. Wiedzą, że ja, człowiek grypsujący, nie mogę już pod tym kocem spać. Jest on „przecwelonny”.

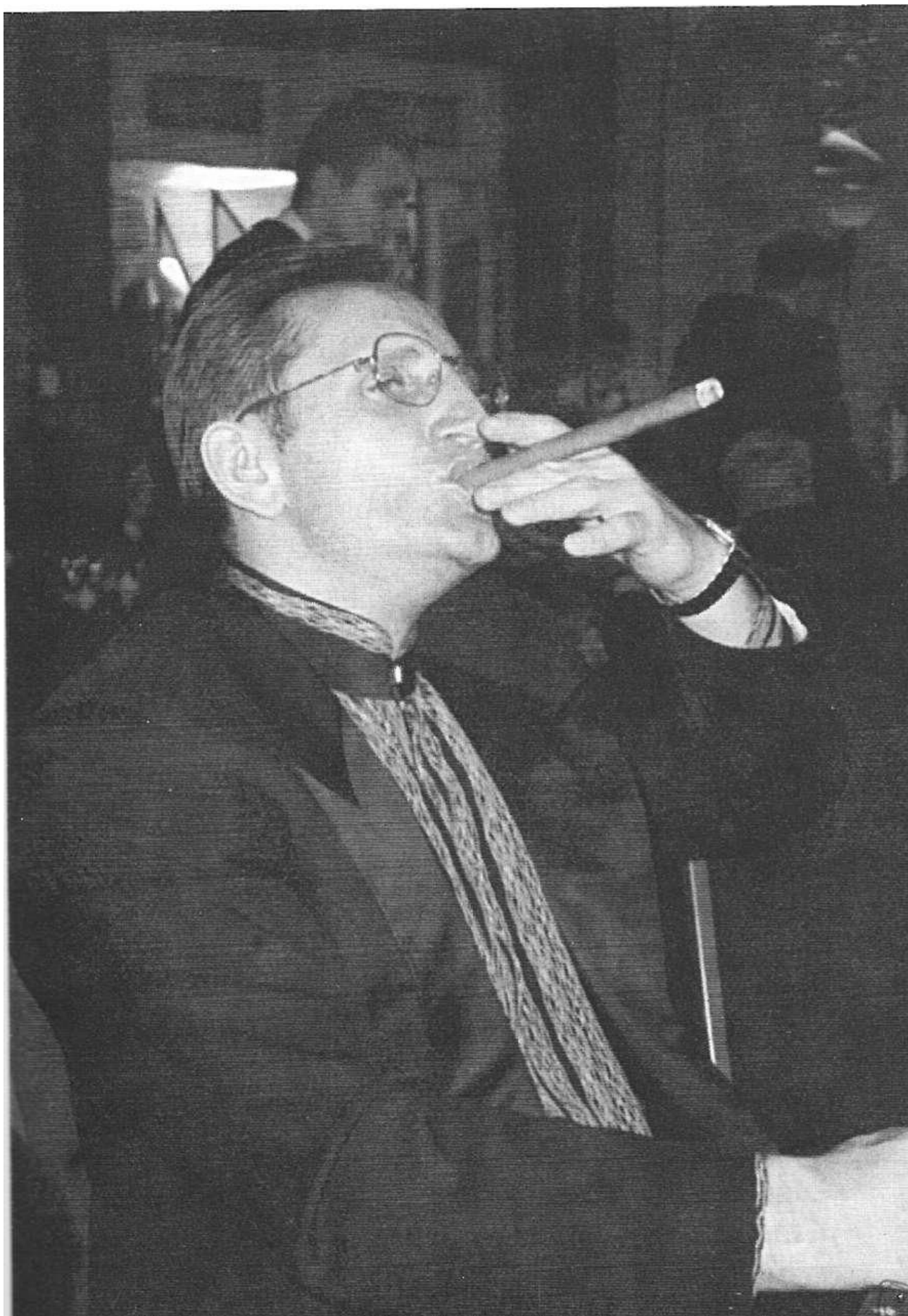
Wyrzucam go i od tej pory śpię bez koca. Przeziębiam krew.

Puchną mi nogi. Na całym ciele pojawiają się czyraki, które po kolei otwierają się. Leżę na pryczy i już nie czuję zimna ani bólu.

I wtedy na ścianie celi postanawiam napisać:

„Tu umarł Andrzej, narodził się Słowik”.





W międzyczasie przysługuje mi tak zwane „warunkowe”, czyli przedterminowe zwolnienie. Po raz pierwszy o takie zwolnienie ubiegałem się w czasie odsiadki tego wyroku. Mam stanąć na „wokandę”, gdzie sąd penitencjarny, niezależny od danego więzienia, ma rozpatrzyć możliwość udzielenia mi przedterminowego zwolnienia. W obecności naczelnika więzienia i wychowawcy rozpatrywany jest każdy przypadek. Analizuje się sposób zachowania więźnia w czasie odsiadki wyroku, jego postawę, stopień resocjalizacji. Na podstawie opinii wychowawcy i naczelnika więzienia podejmuje się decyzję o zwolnieniu lub nie.

Przed „wokandą” podchodzi do mnie wychowawca i pyta:

- Powiedz, chcesz wyjść?

- No tak - mówię - przecież po to staję na „warunkowe”.

- Powiedz na „wokandzie”, że nie grypsujesz, a wyjdiesz.

- Ale panie wychowawco, przecież przez dwa lata grypsowałem, sam Pan wychowawca doskonale wie i ja takich rzeczy robić nie mogę. Nie dlatego, że się ktoś dowie, ale Pan mnie uczy, że bym był sam dla siebie świnią.

- Powiedz i zobaczysz - wychodzisz.

On potrzebował pokazać, że przyprawia kolejnego więźnia, który już nie grypsuje. Moim kosztem chciał coś zyskać, wykazać się przed przełożonymi swoimi osiągnięciami. Jeszcze wielokrotnie w życiu przyjdzie mi spotkać się z taką postawą, kiedy ludzie próbowali wykorzystywać mnie dla swoich korzyści. Wchodzę na „wokandę” i nikt mnie nie pyta, czyja utrzymuję kontakt z rodziną, jakie ja mam poglądy na życie, co będę robił na wolności, czy mam zamiar iść do pracy, w jaki sposób więzienie na mnie wpłynęło. Zadają mi tylko jedno pytanie:

- Grypsujesz?

- Tak.

- Dziękuję, „wokandy” nie otrzymujesz. Proszę wyjść!

Miałem okazję wyjść przedterminowo. Musiałem tylko skłamać,

zaprzeczyć samemu sobie. Kolejna instytucja chciała nauczyć młodego chłopaka, że kłamstwem i nieuczciwością można w życiu coś osiągnąć. A ja chciałem po prostu być sobą. Nie chciałem, żebym za kilka lat, gdy ktoś spyta, co wtedy powiedziałem, musiał odpowiedzieć, że zdradziłem swoje zasady, „zeszmaciłem” się.

Odsiedziałem nie tylko wyrok, ale i grzywnę, na spłacenie której nie było stać moich rodziców. Moje wielokrotne prośby o pozwolenie pracowania w więzieniu były odrzucane. Po dwóch latach wyszedłem na wolność. Jak wielkie spustoszenie życie więzienne poczyniło w mojej psychice, miałem przekonać się już wkrótce. Nie potrafiłem znaleźć się w nowej rzeczywistości. Nie miałem się gdzie podziać, rodzina odwróciła się ode mnie. Ze swoją przeszłością nie mogłem znaleźć pracy. Wtedy coś we mnie pękło. Byłem wściekły na cały świat, zdałem sobie sprawę, jaką krzywdę mi wyrządzono. Komuna zrobiła ze mnie stuprocentowego przestępcę. I wtedy powiedziałem sobie; chcecie mieć przestępcę, to będziecie go mieli.

Zacząłem popełniać drobne przestępstwa, kradzieże, włamania do mieszkań. Na wolności byłem 58 dni. I znowu wielkie nieporozumienie. Ja , drobny złodziejaszek, za to co zrobiłem trafiam na cztery lata do więzienia dla najgroźniejszych przestępców, do więzienia w Czarnem.

Mam dwadzieścia jeden lat. Najpiękniejsze lata młodości mam spędzić pośród najgorszych kryminalistów, morderców, gwałcicieli, narkomanów, wielokrotnych recydywistów. W tym czasie, kiedy moi rówieśnicy cieszą się młodością, chodzą na randki, zakochują się, przeżywają wzloty i upadki, ja mam spędzić cztery lata w najcięższym więzieniu w Polsce.

Przysyłają mnie do Czarnego. Jestem młodym chłopakiem, a za sobą mam już jeden wyrok odsiedziany w „Mielęcinie”. Jestem człowiekiem grypsującym, umiejącym przestrzegać wszelkie zasady, obowiązujące grypsujących. Wchodzę z

„mandżurem” pod celę. Wiem, że nie mogę położyć go na podłodze, bo wezmą mnie za „fajera”. Rozglądam się więc uważnie po celi, żeby znaleźć wolne łóżko. Cella jest czternastoosobowa. Ktoś pyta, czy grypsuję. Nie odpowiadam, tylko podchodzę do wolnego łóżka i kładę na nim „mandżur”. Dla ludzi grypsujących jest to znak, że ja też grypsuję. Wszelkie pytania są zbędne. Podchodzi do mnie facet, z wyglądu dużo starszy ode mnie, bierze mój „mandżur” i rzuca na środek celi, na podłogę.

- Zadałem ci pytanie, czy ty grypsujesz?

- To ty nie widzisz, co ja robię? Jak ci coś nie pasuje i masz problemy ze sobą, to idź do lekarza.

Znowu biorę „mandżur” i kładę na łóżko. Łóżko, które jest wolne. A on podchodzi i wali mnie w głowę. Dostałem tak, że się przewracam. Wstaję, biorę z górnego łóżka deskę, która zabezpiecza przed spadnięciem z łóżka podczas snu, walę go w łeb, deska pęka, poprawiam go drugi raz. Klient leży nieprzytomny. Jest straszna afera, bo jest dużo krwi, groźnie to wygląda. Zabierają go na „szpitalkę”. Po opatrzeniu ran każe odprowadzić się z powrotem pod celę. Twierdzi, że się potknął i przewrócił. Ale nerwy mu puszczają i ze złości, że jakiś „Słowik” mu „dołożył”, odgryza sobie palec. On, największy „kozak” na całą Polskę, został po raz pierwszy publicznie pobity. Takie wiadomości rozchodzą się po więzieniu błyskawicznie. Mało tego, po jakimś czasie cała Polska wie o tym zdarzeniu. Więźniowie, którzy przewożeni są do innych więzień, roznoszą takie informacje. Za każdym więźniem wędruje po całej Polsce informacja, czy jest „cwelem”, czy grypsuje, z jakiego artykułu siedzi. Nigdy więcej już go nie widziałem. Tylko raz, po latach, kiedy terroryzował całą Łódź, rozmawiałem z nim przez telefon. Ale wtedy odnosił się do mnie z pełnym szacunkiem, nawet zaprosił mnie na wódkę.

W więzieniu ludzie dla zabicia czasu i żeby nie zwariować wyszukiwali sobie różne zajęcia. Jeden próbował malować obrazy, drugi hodował kwiatek, a jeszcze ktoś inny opiekował się małym kotkiem. Kotów w więzieniu zawsze było sporo, a byli i tacy ludzie, którzy je jedli. Smażył taki kota, a mówił, że dostał w paczce królika. Częstował wszystkich i jeszcze urągał, że żona, ta stara „k...”, takiego starego królika mu przysłała. Stare koty szły na patelnię, a młode służyły za maskotki seksualne.

Któregoś dnia wychodzę na główny „spacerniak”, na którym jest, powiedzmy, pięćdziesięciu więźniów. Idę sobie po ścieżce, myślę o rodzinie, o wolności. Staram się omijać kałuże, nie wdepnąć w błoto. Widzę, że przede mną ktoś prowadzi młodego kotka na sznurku. Specjalnie nie zwracam na to uwagi, nie takie rzeczy już w więzieniu widziałem i kotek na sznurku wcale mnie nie dziwi. Myślę raczej o tym, żeby nie wdepnąć w kałużę. Gdy po raz kolejny przeskakuję kałużę skaczę tak niefortunnie, że zaczepiam nogą o sznurek, na końcu którego jest kotek. Kotek zapiszczał, a jego właściciel rzucił się na mnie i uderzył mnie w twarz.

- K... twoja mać - mówi do mnie - co ty, nie masz litości nad zwierzętami.

Wynurzam się z kałuży, łapię faceta za włosy, biję go i na koniec wrzucam go do wody.

- Co ty robisz, świrze, za co mnie uderzyłeś? - mówię do niego. O co ci chodzi?

Okazało się, że był to tak zwany „Palma”, facet, którego wszyscy się bali i który terroryzował całe więzienie. Udawał złodziej a, a tak naprawdę siedział za znęcanie się nad rodziną.

Kilkakrotnie zamykał matkę i siostrę w spiżarni i rozbijał im na głowach weki, w których matka robiła przetwory na zimę.

- To ty, świnió, teraz kotka kochasz, a matki i ojca nie kochałeś! Pobiłem go za to strasznie. Jak to poszło w eter, to wszyscy na

„spacerniaku" palcem mnie pokazywali. Zdobyłem taki szacunek, że ci najwięksi kryminaliści, z wyrokami nie mniejszymi niż dziesięć lat, zaczęli mnie szanować i odnosić się do mnie z respektem. Już po wyjściu z więzienia, kiedy nie byłem już więźniem przekonałem się, że ten szacunek przeniósł się również na wolność.

Postanawiam uciec z Czarnego. W całej historii tego najlepiej strzeżonego więzienia w Polsce jestem jedną z niewielu osób, której to się udaje.

Był stan wojenny. Przez pół roku ukrywałem się w różnych miejscach, ale najwięcej czasu spędziłem w Gdańsku na Starówce. Z okna mojej kryjówki widziałem słynny budynek Poczty Gdańskiej. W tej historii miejsce to odegra bardzo ważną rolę. Ze względu na stan wojenny, ukrywanie się było bardzo utrudnione. Po całym mieście krążyło mnóstwo patroli. Nad zachowaniem porządku czuwało nie tylko wojsko i milicja, ale również zmobilizowano oddziały ORMO (Ochotnicze Rezerwy Milicji Obywatelskiej), ZOMO (Zbrojne Oddziały Milicji Obywatelskiej), a nawet na potrzeby stanu wojennego zorganizowano specjalne oddziały tzw. ORMO (Rezerwowe Oddziały Milicji Obywatelskiej), do których powoływano przypadkowych ludzi, bardzo często bez żadnego przygotowania. Byli to robotnicy i chłopci, oderwani od swoich codziennych zajęć w fabryce czy na roli. Wyglądali komicznie, przebrani w mundury moro, z wielkimi brzuchami, bokobrodami na pół policzka i długimi, często przetłuszczonymi włosami wystającymi spod czapek. Zazwyczaj chodzili szóstkami, patrol od patrolu w odstępach kilkudziesięciu metrów, uzbrojeni w pałki milicyjne i kajdanki. Wyglądali komicznie. Byli mało skuteczni, zagubieni w nieznanym mieście. Taki patrol próbował mnie kiedyś zatrzymać.

Wieczorem, tuż przed zamknięciem, poszedłem na Poczta

Główną zatelefonować. Gdy już wychodziłem z budynku, zatrzymał mnie patrol ORMO w celu sprawdzenia dokumentów. Oczywiście dokumentów nie miałem, mało tego, byłem poszukiwany.

Zdałem sobie sprawę, że mam kłopoty. Zacząłem udawać, że szukam po kieszeniach dokumentów, a w międzyczasie zaczynam kombinować, co mam dalej zrobić. Z pomocą przyszła mi babcia, która akurat wychodziła z poczty, a której tarasowaliśmy przejście. Mówię: - Panowie, przesuńcie się, trzeba przepuścić babcię. Gdy oni się rozstąpili ja zacząłem uciekać. Oni rzucili się w pościg za mną.

Biegnę co sił w nogach głównym deptakiem, za mną biegnie patrol ORMO, wiejskie chłopcy, z wystającymi brzuchami, w przyciasnych mundurach moro. Któryś z nich miał gwizdek, więc goniąc mnie gwizdał, ile miał sił w płucach. Wszystkie patrole, które mijaliśmy po drodze, przyłączały się do pościgu. Z bocznych uliczek wybiegały kolejne, czekały, aż wszyscy przebiegną i sami dołączali do pogoni. Po pewnym czasie goniło mnie kilkadziesiąt osób, ubranych w mundury, uzbrojonych w tarcze i pałki. Ktoś, kto by obserwował to z boku, miałby niezły ubaw. Powoli zaczęło brakować mi sił. Postanowiłem skręcić w bramę, wydawało mi się, że przelotową. Ale brama okazała się „ślepa”. Znalazłem się w pułapce. Powoli zacząłem panikować. Wpadłem na klatkę schodową. Szarpałem za klamki mijanych drzwi w nadziei, że może któreś się otworzą. Za plecami słyszałem odgłosy zbliżającego się pościgu. Minąłem pierwsze piętro, na półpiętrze pomiędzy pierwszym a drugim piętrem na klatce schodowej było otwarte okno. Nie zastanawiając się długo wyszedłem przez to okno na parapet i czekałem ze skokiem na moment, kiedy pościg będzie jak najbliżej. Przez ramię widziałem zbliżających się funkcjonariuszy, patrzyłem, jak tłoczą się jeden przez drugiego. Spoceni, zdyszani, ledwo biegli pod górę.

Gdy pierwsi byli naprawdę blisko, skoczyłem w dół i wylądowałem prosto na głowach milicjantów, którzy stali na dole. Nie przewidziałem tego, że w czasie pościgu tak wielu przyłączyło się do nas, że gdy ci pierwsi byli tuż przy mnie na schodach, ci ostatni jeszcze nie wbiegli do klatki. Wszyscy rzucili się na mnie, zaczęli mnie kopać i tłuc pałkami. W końcu skuli mnie kajdankami i zabrali na komendę do wyjaśnienia. Ponieważ nie przyznawałem się do prawdziwego nazwiska, po odciskach palców doszli do tego, jak się nazywam i że jestem poszukiwanym listem gończym zbiegiem z więzienia. Po miesiącu od nieudanego skoku z okna wróciłem do Czarnego. Specjalna jednostka milicji dowiozła mnie do więzienia, a przy bramie czekał już na mnie kierownik ochrony Biernacki. Milicja przekazała mnie w jego ręce, a on przywitał mnie bardzo „serdecznie”. Tak mocno uderzył mnie w nos, że zalała mnie krew. Gdy odzyskałem świadomość, pytam go: - Pan ośmielił się mnie uderzyć? Przecież zawsze miał Pan ludzi od bicia.

- Zbyt długo czekałem na tę przyjemność, żeby ci przywalić. Brać go na „jedynekę”!

W tym czasie w Czarnym było dwadzieścia pięć pawilonów. „Jedynka” to był pawilon izolatek. Za ucieczkę dostałem pół roku „jedynek”. Biernacki osobiście zaprowadził mnie na pawilon, gdzie czekał już na mnie „Czarna dupa”, chyba najgorszy klawisz na świecie. Byłem w kilkunastu więzieniach, ale takiego skurwysyna w żadnym z nich nie spotkałem. Każdy, kto w tamtym czasie siedział w Czarnym wie, że „Czarna dupa” pracował tylko na izolatkach.

„Czarna dupa” wsławił się tym, że bił więźniów w sposób okrutny. Bił i znęcał się nad więźniami w sposób tak perfidny, że po miesiącu takich tortur każdy zgadzał się na wszystko, żeby tylko nie być dalej poniewieranym. Odbierał ludziom godność tylko po to, żeby popisać się przed całym więzieniem, jak i to z niego dobry „klawisz”.



Po pół roku pobytu na izolatkach przeniesiono mnie do „normalnej” celi. Żeby całkowicie nie zwariować chciałem coś zrobić, czymś się zająć. Do pracy nie chcieli mnie przyjąć, bo bali się, że im znowu ucieknę. Zgodzili się natomiast, żebym uczęszczał do szkoły. Przez dwa lata uczyłem się zawodu fryzjera. Przez ten okres przekonałem się, jaka jest różnica w traktowaniu więźniów uczących się. Nikt z „klawiszy” mi nie dokuczał, miałem święty spokój, przez te dwa lata ani razu nie widziałem izolatek. Mogłem w miarę ludzkich warunkach odsiadywać wyrok. W czasie odsiadywania tego wyroku po raz pierwszy i ostatni zdarzyło mi się, żeby funkcjonariusz służby więziennej sam zaproponował mi przedterminowe zwolnienie. Człowiekiem tym był mój wychowawca więzienny, sprawujący jednocześnie funkcję kierownika penitencjarnego więzienia. Wezwał mnie kiedyś do siebie i mówi:

- Słuchaj, „Słowik”, pracuję w tym zawodzie już wiele lat i widziałem tysiące więźniów. Obserwuję ciebie od dłuższego czasu i moim zdaniem ty już się do więzienia nie nadajesz. Jeżeli zostaniesz dłużej w więzieniu, to cię zepsują do szpiku kości. Twoja resocjalizacja dalej musi przebiegać na wolności. Ja występuję dla ciebie o warunkowe zwolnienie.
- Panie wychowawco, przecież mnie te k...y nie puszcza.
- Pisz o „warunkowe” i wychodź na wolność.

Na „wokandzie” poparł mój wniosek o zwolnienie warunkowe. Stwierdził, że w więzieniu przeżyłem już wszystko i dalsze trzymanie mnie tu może tak wypaczyć moją osobowość, że jakakolwiek resocjalizacja będzie nieskuteczna. Poświadczył za mnie swoim autorytetem i dzięki temu warunkowo wypuszczono mnie z więzienia.

Wychodzę na wolność. Nie mam pracy nikt nie chce zatrudnić wielokrotnego złodzieja. Zaczynam kraść. W tym czasie jak grzyby po deszczu powstają najróżniejsze hurtownie, które aż prosiły się, żeby je okradać. Zazwyczaj są zakładane w okolicy

Warszawy w jakiś stodołach czy szopach. Są źle zabezpieczone. Nie mają alarmów, jedyne zabezpieczenie to metalowe skoble i duże kłódki. Zaczynam kraść papierosy i handlować nimi. Wszystko idzie jak z płatka. Wystarczy tylko nocą otworzyć kłódkę albo po prostu ją ukręcić i zabrać to, co „biznesmen” miał w środku. Pewnego razu na szopie znowu nie było alarmu, ale za to w środku siedziało pół wsi z widłami w rękach. Okradani chłopci postanowili się bronić. Padło hasło: „brać go” i zaczęła się pogoń. Zostawiam wszystko i w nogi. Ja patrzę, a za mną biegnie chyba pół wioski, wszyscy uzbrojeni w widły, rozwścieczeni. Ale myślę sobie, ja młody, wysportowany chłopak, a za mną stare zgredy w gumiakach. Nie będzie problemu, aby do lasu. Wpadłem na kartoflisko, Z coraz większym trudem biegnę przez bruzdy, nogi zapadają się w grząskiej ziemi, robią się jak z waty. A za sobą, coraz bliżej, słyszę oddechy goniących. Przewracam się, rzucone widły o centymetry mijają moją głowę. Tylko nie dać się przebić widłami. Dziury w plecach po kulach to tak, ale nie po widłach. Ostatkiem sił wpadam do lasu. Biegnę przez gęstwinę, gałęzie szarpią mi ubranie, kaleczą twarz i ręce. Pościg ustaje. Pieszko przez kilkanaście kilometrów wlokę się do domu. J u ż widzę znajome bloki, za chwilę napiję się wody, wejdę do wanny. Skradam się do klatki, wjeżdżam windą na piąte piętro, dzwonię do drzwi. Zmęczony, ale szczęśliwy, że już jestem w domu. Po dłuższym oczekiwaniu drzwi otwiera moja kobieta. Zieje tanim alkoholem, uważnie mi się przygląda i mówi:

- K...ą pachniesz, gdzie ty, w burdelu byłeś, miałeś mnie świnię nie zdradzać.
- O czym ty mówisz, głupia kobieto. Ja ledwo z życiem uszedłem. Na wolności tym razem jestem 59 dni, podczas których dokonałem kilkunastu włamań i kradzieży, ale tak naprawdę do więzienia wróciłem za przestępstwo, którego nie popełniłem. Milicja domyślała się tylko, że niektóre z kradzieży mogą być moim dziełem, ale nie miała żadnych dowodów. Oprócz tego

powoli zaczęła krążyć o mnie opinia świętego złodzieja, który potrafi otworzyć każdy zamek. Nie ukrywam, że była to prawda, gdyż przez lata odsiadki najlepsi złodzieje w Polsce uczyli mnie otwierać wszystkie rodzaje zamków. Milicja postanowiła unieszkodliwić mnie jak najszybciej. Postanowiono „przybić” mi jakąś sprawę, czyli oskarżyć o przestępstwo, którego nie popełniłem. Zostaję aresztowany i postawiony przed sądem. Na sprawę przychodzi baba i mówi, że w styczniu okradłem jej dom. W tym czasie była ona za granicą, a po powrocie zastała dom okradziony. Za namową milicji mnie wskazała jak o sprawcę. Tylko zapomnieli powiedzieć j e j o kilku bardzo istotnych szczegółach, na przykład o tym, że w styczniu ja siedziałem w więzieniu w Czarnem i nie było możliwości, żebym to zrobił. Ale sąd nawet nie zadaje sobie trudu, żeby to sprawdzić, tylko skazuje mnie na odsiadkę.

Kolejny wyrok. Wracam do więzienia. Powoli zaczynam zdawać sobie sprawę, że wieloletnie przebywanie w jedne j celi z najgroźniejszymi przestępcami tak bardzo mnie zmieniło, że nie potrafię żyć na wolności. Moje życie, mój dom są tu, w więzieniu.

Jestem nieprzystosowany do innego życia. Z drugiej jednak strony nie mogę pogodzić się z rygorami, jak im jestem poddawany w więzieniu. Chcę wrócić na wolność.

Na wolności nastają czasy „Solidarności”, rygory więzienne zostają złagodzone, coraz więcej więźniów wychodzi na przepustki. Ja siedzę z wyrokiem i z wysoką grzywną. Czekam tylko na sposobność wyjścia z więzienia przynajmniej na kilka dni, abym mógł w tym czasie spłacić przynajmniej część grzywny, za którą siedzę w więzieniu. Na wolności mam poukrywane różne „fanty”, wystarczy je tylko sprzedać. Kolejne prośby o przepustkę zostają odrzucone. Postanawiam załatwić sprawę w inny sposób. Na widzenie przyjeżdża do mnie przyjaciel. Zaczynamy rozmawiać.

- Co się dzieje? - pyta.
  - Jak to, co się dzieje? Co się ma dziać, jestem w tym więzieniu fryzjerem i już mam tego dosyć. Siedzę tu z bandziorami, bandytami, gwałcicielami, którzy lawinowo wychodzą z więzienia a ja za kradzież i nie otrzymuję żadnej przepustki. Wyrwałbyś mnie stąd.
  - A masz jak i e ś możliwości?
  - Dlaczego nie, są możliwości wykupienia się.
  - A ile to kosztuje?
  - Niedużo, człowieku, ja za sto dolarów wyjdę z tego więzienia. To banda pijaków, nędzne „klawisze”, co za dwadzieścia dolarów dupę ci wylizają.
  - Jak to się dzieje?
  - Daj mi sto dolarów, a wkrótce się przekonasz. Zostawia mi sto dolarów w drobnych banknotach. Teraz tylko czekam na odpowiedni moment, żeby się wykupić. Gdy na zastępstwo przychodzi wychowawca znany z tego, że jest przekupny, idę do niego ze swoją sprawą.
  - Słuchaj, misiu - mówię - potrzebuję iść na przepustkę, ile to kosztuje?
  - Pożycz mi dzisiaj dwadzieścia dolarów a j u t r o ci odpowiem.
  - To bardzo ładnie się składa, bo akurat tyle przy sobie mam - mówię do niego i daję mu pieniądze. A on na to:
  - Widzisz, dla człowieka z twoją „ksywą” może być pewien problem, ale zrobimy tak; zorganizuj telegram, że zmarł ci ojciec albo matka, a ja resztę załatwię.
- Po pewnym czasie do więzienia przychodzi „lipny” telegram, że matka umarła w Warszawie, pomimo że nigdy w Warszawie nie była. Na telegramie jest tyle pieczętek i potwierdzeń z najróżniejszych urzędów, że naczelnikowi więzienia na moment mowę odebrało. - Jak długo pracuję w więziennictwie, tak potwierdzonego telegramu jeszcze nie widziałem - stwierdził po odzyskaniu mowy. Oczywiście dostałem przepustkę i na

pięć dni wyszedłem na wolność. Wtedy jeszcze nie myślałem, żeby nie wrócić z tej przepustki. Chciałem w ciągu tych pięciu dni załatwić wszystkie najpilniejsze sprawy a potem odsiedzieć wyrok do końca. Chciałem mieć to już poza sobą, być czystym. Ale stało się inaczej. W ciągu tych pięciu dni wolności zarobiłem tak dużą ilość pieniędzy, że mogłem skutecznie ukrywać się w nieskończoność. Ale ja już nie chciałem się ukrywać, uciekać przed prawem. Chciałem żyć jak normalny, wolny człowiek. Chciałem żyć jak mąż, ojciec rodziny. Dzielić się z żoną troskami i radościami dnia codziennego, wychowywać wspólnie dzieci, chodzić z rodziną w niedzielę do kościoła, na spacer do parku, zabierać dzieci na lody, chodzić w odwiedziny do babci, do znajomych. Prowadzić życie normalnego, statecznego obywatela. Czułem, że staję się innym, lepszym człowiekiem, bo pragnąłem być inny, niż do tej pory. Potrzebowałem szansy powrotu do normalności, powrotu do społeczeństwa.

Poznałem kobietę, która urodziła mi córkę. Byłem dumny ze swojego ojcostwa. Cieszyłem się każdym dniem nowego życia. Z radością w sercu obserwowałem rozwój mojej córeczki.

Pierwsze uśmiechy, łezki, okrzyki bólu i radości, oczekiwanie na pierwszy ząbek, raczkowanie, pierwsze nieporadne kroki.

Cud miłości i łaski Bożej. W tym samym czasie kiedy naprawdę umiera moja mama, rodzi się moja córka. Bóg zabiera mi jedną miłość, żeby dać mi drugą. Cud kontynuacji życia i miłosierdzia Boskiego.

Jestem szczęśliwy. U boku ukochanej kobiety przeżywam najwspanialsze chwile. Nareszcie mam taką rodzinę, o jakiej marzyłem przez lata więzienia. Taką, w jakiej wychowywali mnie moi rodzice. Męczy mnie jedynie ciągła presja ukrywania się przed policją. I presja ta udziela się również mojej kobiecie. To powoduje, że po pewnym czasie mój związek rozpada się. Moja kobieta nie wytrzymuje tego ciągłego napięcia. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Natomiast pojawia się okazja, żeby

załatwić sprawę ułaskawienia.

Zaproponowano mi skorzystanie z prawa aktu łaski ówczesnego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Wałęsy. I ja z tej propozycji skorzystałem, ściślej mówiąc po prostu się wykupiłem. Zapłaciłem żądane pieniądze i otrzymałem odpowiedni dokument.

Nie widziałem innej możliwości. Naznaczony piętnem groźnego przestępcy ukrywającego się przed policją, nie mogłem ubiegać się o akt łaski Prezydenta w normalnym trybie.

Wykorzystałem ludzką chciwość i akt łaski po prostu kupiłem. Akt łaski otrzymuje się warunkowo. Przez pięć kolejnych lat ułaskawiony nie może popełnić żadnego przestępstwa, bowiem w przeciwnym wypadku z powrotem wraca do odbywania kary, wykonywanie której czasowo zawieszono. Po pięciu latach nienagannego sprawowania kara zostaje aktem łaski darowana.

W tym momencie potwierdzam wszystkie znane z prasy fakty dotyczące korupcji w otoczeniu Prezydenta. Niech nikt nie myśli, że problem korupcji dotyczy tylko urzędnika mogącego przyspieszyć wydanie paszportu, lekarza przeprowadzającego operację, sprzedawcy samochodów, który pomoże kupić auto w ulubionym kolorze. Niech nie obrazi się ktoś, kogo w tej wyliczance pomiąłem, a kto też nie raz wziął. Wielu ludzi, którzy mogą coś załatwić, którzy mają dostęp do cennych dla innych informacji, ulega korupcji. Mają oni swoją cenę. Tak jest w Polsce, w Izraelu, w Ameryce - na całym świecie. Tylko od możliwości i stanowiska zależy wysokość tej ceny. Dzięki skłonności ludzi do przekupstwa mogą do dzisiaj skutecznie ukrywać się przed policją. Informatorzy na najwyższych szczeblach urzędniczej drabinki na bieżąco udzielają mi informacji o kolejnych ruchach policji i o ich zamierzeniach. Ich bezkarność będzie trwała tak długo, jak długo będzie trwało moje ukrywanie się.

## WYCIĄG

z postanowienia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

### POSTANOWIENIE PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Nr PU - 117 - 37 - 93

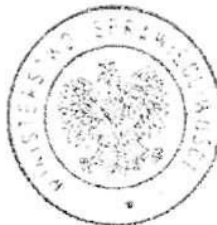
z dnia 18 października 1993 r.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej postanawia skorzystać z prawa łaski w stosunku do:

BANASIAKA Andrzeja, s.Jana, skazanego wyrokiem Sądu Rejonowego dla Warszawy-Pragi z dnia 9 września 1987 r. sygn. akt III K 76/87 na karę 6 lat pozbawienia wolności i grzywny w wysokości 2.500.000 zł, zamienionej wobec nieuiszczenia na 3 lata następczej kary pozbawienia wolności oraz kary dodatkowe konfiskaty mienia w całości i podania wyroku do publicznej wiadomości

przez warunkowe zwolnienie z odbycia reszty kary pozbawienia wolności z wyznaczeniem okresu próby na 5 lat z ustanowieniem dozoru kuratora sądowego oraz z obowiązkiem uiszczenia kary grzywny

Pieczęć sucha  
Prezydenta RP



PREZYDENT  
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

(—) Lech Wałęsa

Za zgodność wyciągu z oryginałem  
poświadczam:

Warszawa, dnia 20.10.1993 r.

Ref. 10.10.93  
w Ministerstwie Sprawiedliwości

Ocenę czynu urzędników Prezydenta Wałęsy pozostawiam innym. Wśród tych ludzi o nieposzlakowanej opinii, bojowników o wolność Polski, walczących o państwo sprawiedliwe i demokratyczne, znajdują się ludzie gotowi zdradzić te ideały. Śmieszne wydaje mi się tłumaczenie Pana Prezydenta, że ktoś podsunął Mu do podpisania stosowny dokument, że On o niczym nie wiedział, że nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności.

Zasłanianie się niewiedzą wydaje mi się niegodne osoby na takim stanowisku.

Pan Prezydent Wałęsa zawsze był dla mnie wzorem prawości, uczciwości i konsekwencji w dążeniu do celu. Zamiast tłumaczyć się niewiedzą, Pan Prezydent powinien dołożyć wszelkich starań, żeby całą tą historię wyjaśnić.

Tłumaczenie się możliwością pomyłki przy bardzo dużej ilości podpisywanych ułaskawień nie zwalnia Pana Prezydenta z moralnej odpowiedzialności za czyny popełniane przez J e g o współpracowników, ludzi, których sam dobierał do współpracy. Jak o ich przełożony ponosi osobiście odpowiedzialność za ich wykroczenia. W tym kontekście publiczne nazywanie mnie łajdakiem uważam za wielką pomyłkę. Cała ta sprawa rzuca cień na osobę Pana Prezydenta, a precyzyjnie mówiąc na jego kancelarię.



# Kto wypuścił „Słowika”?

**Sledztwo wykaże, czy urzędnicy Kancelarii Prezydenta Wałęsy wzięli łapówkę za ulaskawienie gangstera**

**Czy pruszkowski gangster Andrzej Zieliński „Słowik” został ulaskawiony, bo dał urzędnikom prezydenta Lecha Wałęsy łapówkę? Sprawdza to warszawska prokuratura.**

Lech Wałęsa ulaskawił „Słowika” w 1993 roku. Gangster był wtedy poszukiwany przez policję, ponieważ nie wrócił z przepustki do więzienia. Mimo że prokurator generalny w swojej opinii sprzeciwiał się ulaskawieniu, prezydent je jednak podpisał. Dziennikarzom TVP, którzy tygodni na początku lutego tego roku całą sprawę, Wałęsa wythumaczył, że „podsunęto mu do podpisu papiery”.

– Wszczęte śledztwo ma sprawdzić, czy urzędnicy Kancelarii Prezydenta Wałęsy nie przekroczyli uprawnień oraz czy w grę nie wchodziła korupcja – powiedziała „Super Expressowi” Anna Kamińska, rzecznik ministra sprawiedliwości. – Śledztwo toczy się w sprawie podejrzenia przyjęcia łapówki, nikomu jeszcze nie postawiono zarzutów.

Według telewizyjnych „Wiadomości”, warszawska prokuratura posiada dowód, że dwaj wysocy urzędnicy kancelarii wzięli 150 tys. dolarów. Ani prokuratura, ani ministerstwo nie potwierdzają jednak tej informacji.

– Nie dopuszczam myśli, żeby któryś z moich najbliższych podwładnych łasił się na jakis grosz – twierdzi Wałęsa. – Mnie też nikt nie kupił. Nie po to przecież obaliliśmy system komunistyczny, aby dać się sprzedać jakiemuś łajdakowi.

„Super Expressowi” Wałęsa powiedział, że śledztwo powinno się toczyć raczej w sprawie Telegrafu. Dlaczego? – tego już jednak nie powiedział. Wiadomo, że prywatna spółka Telegraf założony na początku lat 90. m.in. brat dzisiejszego ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego – Jarosław. Około miliona dolarów zanwestowały w nią państwowe firmy. Inwestycja się nie zwróciła.

Były szef kancelarii Władysław Wachowski nie chciał rozmawiać o wszczęciu śledztwa. Z ko-



warszawskiej prokuraturze śledztwo nie ujawni korupcji prezydenckich urzędników.

– Byłem odpowiedzialny za biuro prawne. Nic takiego się nie zdarzyło i zdarzyć nie mogło – powiedział „Super Expressowi” – Śledztwo niczego nie wykaze, bo to podejrzenie jest bezsensowne.

Falandysz nie wyjaśnia jednak, dlaczego poszukiwany przez policję gangster został ulaskawiony. – Ja też sprawy nie

*„Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień” - to według Ewangelii Według Św. Jana słowa Jezusa do zebranych na Górze Oliwnej uczonych w Piśmie i faryzeuszy, którzy przyprowadzili do Niego kobietę pochwyconą na cudzołóstwie*

*... Kiedy to usłyszeli, wszyscy jeden po drugim zaczęli odchodzić, poczynając od starszych, aż do ostatnich. Pozostał tylko Jezus i kobieta, stojąca na środku. Wówczas Jezus podniósłszy się rzekł do niej: „Kobieto, gdzież oni są? Nikt cię nie potępił? A ona rzekła: „Nikt, Panie!” Rzekł do niej Jezus: „I Ja ciebie nie potępiam. - Idź, a od tej chwili już nie grzesz!”*

W tym miejscu nasuwa mi się jeszcze jedna refleksja. Czy pan Wałęsa pamięta kłopoty, jak i e sprawiał Mu jego niezdyscyplinowany syn Przemysław?. Czy nie miał moralnych rozterek, kiedy kpiono sobie z wymiaru sprawiedliwości, kiedy młody Wałęsa był poza prawem?. Mnie wtedy przypominał się wypadek samochodowy, który spowodowałem jak o młody chłopak i to, w jaki sposób zostałem potraktowany przez sąd. Dzieci prominentów uniknęły kary tylko dlatego, że ich rodzice byli kimś, mieli „układy”.

Jeżeli dobrze pamiętam, syn Prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Wałęsy - Przemysław, będąc w podobnym wieku co ja , spowodował wypadek samochodowy. J a d a c po pijanemu samochodem potrafił kobietę, która w wyniku odniesionych ran została kaleką do końca życia. Za to nie poszedł do więzienia, ale dostał wyrok w zawieszeniu. Czując się bezkarnie lekceważy prawo i nadał jeździ samochodem po alkoholu i bez prawa j a z d y w wyniku czego powoduje kolejny groźny wypadek, gdzie tym razem ofiara miała więcej szczęścia, gdyż nie została kaleką. Również i za ten wypadek nie poszedł do więzienia, ale ponownie dostał wyrok w zawieszeniu. Polski Kodeks Karny nie przewiduje sytuacji, żeby recydywista po raz kolejny otrzymał wyrok w zawieszeniu za to samo przestępstwo.

# Łaska prezydenta za 150 tys. dolarów?

Telewizyjne „Wiadomości” podały, że urzędnicy kancelarii prezydenta Lecha Wałęsy wzięli 150 tys. dolarów łapówki za załatwienie uniewinnienia Andrzeja Banasiaka ps. Słowik, poszukiwanego bossa „Pruszkowa”. Sprawą zajęła się prokuratura.

Afera wyszła na jaw 5 lutego. Ujawniono wtedy, że na początku lat 90. poszukiwany dziś listami gończymi boss mafii pruszkowskiej trafił do więzienia za włamania i kradzieże. Gdy dostał przepustkę, nie wrócił za kratki. Po trzech latach ukrywania się wysłał do prezydenta Lecha Wałęsy list z prośbą o ulaskawienie. Choć wniosek nie poparł ówczesny prokurator generalny Stanisław Iwanicki, prezydent ulaskawienie podpisał.

## Spokój prezydenta

— To nieprawdopodobny skandal. Będzie dążył do tego, aby sprawa została wyjaśniona. Nie wierzę, aby prezydent Wałęsa zrobił to celowo i świadomie — komentował ujawnione informacje minister sprawiedliwości Lech Kaczyński.

Wczoraj, na wieść o wysokości łapówki i wszczęciu przez prokuraturę śledztwa w tej sprawie, prezydent

styczni, aby dać się sprzedać jakiemuś lajdakowi — powiedział dziennikarzowi PAP Lech Wałęsa.

Reportrzy ŻW próbowali wczoraj skontaktować się z byłym prezydentem, aby zapytać go, dlaczego twierdzi, że w 1993 r. „Słowik” był tylko początkującym przestępcą, a nie mafiosem rosnącego w siłę gangu. Nie zastaliśmy jednak Lecha Wałęsy w domu. Powiedziano nam, że udał się w podróż do Warszawy. Szkoda, bo o pozycji Andrzeja Banasiaka vel Zielińskiego w 1993 r. zupełnie inne zdanie, niż były prezydent, ma policja.

## To nie był początkujący gangster

— W 1993 r. Andrzej Zieliński był w centrum zainteresowania policji jako człowiek mający związek z zorganizowaną przestępczością. Ponadto

szenia rozbójniczo, w tym najście na klub Dekadent na Woli, jego obrońcy tak sprytnie przedłużali procedury, że proces nie mógł się rozpocząć. Jednocześnie „Słowik” nabawił się w areszcie dyskoplali i po operacji został zwolniony do domu. Sąd uznał, że choroba nie pozwala mu na uczestnictwo w rozprawach.

Odkąd wyszedł na wolność, jego noga nie postąpiła już w areszcie. Oficjalnie był ciężko chory, jednak w ub. roku policjanci zatrzymali samochód, którym jechał... kompletnie pijany (choć według lekarzy mógł poruszać się tylko na wózku).

Aż do sierpnia ub. roku, gdy policja zorganizowała oblawę na członków gangu pruszkowskiego, „Słowik” wcale się nie krył, bywał w lokalach. Taż przed... onem



Andrzej Banasiak vel Zieliński

pierów do podpisu, wymienił dwa nazwiska. — Chyba nie zrobił tego Falandysz, nie sądzę też, by zrobił to Wachowski — oświadczył były prezydent 5 lutego br. w rozmowie z reporterami ŻW.

## Lech Falandysz zdziwiony

Były szef kancelarii Wałęsy Mięczysław Wachowski do tej pory nie skomentował wypowiedzi prezydenta. Głos zabrali natomiast Lech

— W ogóle...

Czy za spowodowanie pod wpływem alkoholu wypadku samochodowego i doprowadzenie do kalectwa niewinnej kobiety, Pański syn poszedł do więzienia?

Nie, dostał wyrok w zawieszeniu.

Czy za prowadzenie samochodu bez prawa jazdy i spowodowanie kolejnego wypadku odwieszono mu wykonanie poprzedniej kary i z nowym wyrokiem posłano na piąty oddział w „Mielęcinie”?

Czy musiał nauczyć się grypsować, uważać, żeby nie zostać „cwelem”?

Czy musiał przejść „ścieżkę zdrowia”?

Czy leżąc w izolatce, pogodzony z życiem, umierający, musiał czekać na miłosierdzie wskrzeszenia?

Czy doznał tylu upokorzeń i cierpienia, ilu ja doświadczyłem?

Nie musiał, bo Jego ojciec był prezydentem państwa.

Pan Prezydent nie musiał nikomu niczego kazać czy zabraniać, nie musiał podejmować działań mających pomóc synowi. On wydał milczące przyzwolenie na pewne działania. Tak więc proszę Pana, Panie Prezydencie, o nie nazywanie mnie łajdakiem na łamach prasy.

Proszę tylko, żeby pomyślał Pan, choć przez sekundę, jak osiemnastoletni chłopak spod Szczecina, dwadzieścia dwa lata temu spowodował niegroźny wypadek i co z tym chłopakiem zrobiono! To właśnie jemu udzielił Pan aktu łaski.

Zawsze na swojej drodze napotykałem ludzi, którzy próbowali mnie oceniać. Z góry zakładali, że każdy, kto był w więzieniu, musi być przestępcą i oszustem. Nawet nie próbowali mnie słuchać. Oczekiwali tylko, że potwierdzę to, co sobie wymyślili, co było wygodne dla nich i przebiegu śledztwa. Jeszcze nie zebrali dowodów winy, a już kogoś oskarżali.

Ale ja już byłem na to przygotowany. Wielokrotne obcowanie z takimi ludźmi nauczyło mnie ostrożności, zawsze starałem się przygotować do odpierania ich ataków, mieć możliwość obrony. Zawsze będę pamiętał przesłuchania, na jak i e wzywał mnie znany warszawski prokurator Jerzy Mierzewski. Na jego prowokacje zawsze znalazłem odpowiedź: „Panie prokuratorze, niech Pan nie traktuje mnie jak o przestępcę, bo nie wszyscy, którzy siedzieli na tym krześle, na którym ja teraz siedzę, byli przestępcami. Niech Pan nie traktuje mnie jak o przestępcę tak na dzień dobry. W tej chwili Pan ma tylko nadzieję, a nie pewność, że ja jestem winien, że jestem przestępcą. A ja bym chciał, żeby Pan miał pewność. Nie możemy zaczynać naszej rozmowy od tego, że Pan kieruje się tylko nadzieją. Niech Pan mnie od razu z góry nie skazuje. Od tego jest sąd a nie Pan. Pan ma nadzieję rozwiązać kolejną sprawę, a komu Pan swoje zarzuty przypisze, to dla Pana już nie jest ważne. Po mnie przyjdą do Pana następni i Pan będzie im to „przyklejał”, aż w końcu komuś Pan to „przyklei,.. Czyja

odpowiadam za moją przeszłość czy za zarzuty, którymi teraz Pan mnie oskarża?

Bo jeżeli mówimy o przeszłości, to może porozmawiamy o Pańskiej. To Pan był zdegenerowanym alkoholikiem, wielokrotnie „zaszywanym”. Cudem uratował się Pan od rysztoła. To Pana żona wygoniła z domu i mieszkał Pan kątem w hotelu prokuratorskim.

A może porozmawiamy o Pańskim wykształceniu? Tak prawdę mówiąc między nami, to mamy podobne wykształcenie. To znaczy, że ani ja, ani Pan nie ukończyliśmy szkoły. I to również znaczy, że albo będziemy rozmawiali jak mężczyzna z mężczyzną, albo jak magister z magistrzem. Tylko że ja nie opowiadam nikomu, że mam dyplom magistra, a Pan chwali się dyplomem, którego Pan nigdy nie zdobył. Niech Pan sam wybierze, jak mamy ze sobą rozmawiać! Niech Pan na mnie nie napada. Nie zakłada z góry, że jestem winny. Niech Pan mi pozwoli swobodnie się wypowiedzieć.

Niech Pan porozmawia ze mną swobodnie i dopiero uzyska Pan pewne informacje. Ale jak ja mogę z takim człowiekiem rozmawiać jak równy z równym kiedy wiem, ile w Pańskim życiu jest kłamstw i matactwa. Pan mnie oskarża. Ale o co? Czemu Pan siebie nie oskarży? Ja wiem, że Pan wielokrotnie brał łapówki. Chociażby ostatnia sprawa zabójstwa gangstera numer jeden w Polsce, tak zwanego „Wariata”. Co w jego notesie znaleziono? Tam jest numer Pańskiego telefonu, a obok napisane: 2000 \$. Łapówka, którą Pan dostał! Ja się pytam, skąd taka szumowina miała Pana prywatny numer telefonu? Ja teraz mam ufać, że z moimi zeznaniami postąpi Pan uczciwie? Tak jak z innymi sprawami, ze swoim alkoholizmem, tytułem magistra? Czemu taki bandzior jak „Wariat” miał Pana numer telefonu, a ja nie mam? I Pan, Panie prokuratorze, chce rozmawiać na temat przypisywanego mi przestępstwa?

Pan się zajmował zabójstwem generała Papyły. I co Pan

zrobił w tej sprawie? Ile Pan ukrył dowodów? Niech się Pan z tego wytłumaczy! Ja na ten temat dużo wiem, ale nie Panu to powiem. Jeżeli Pan rozlicza mnie teraz z mojej przeszłości, a nie z tego, co robię teraz, to ja nie mogę traktować Pana jak prokuratora, ale jak alkoholika i oszusta! Ja mogę się wypowiedzieć na łamach prasy, mogę napisać list otwarty do jakiejś gazety. I wtedy powiem, co Pan zrobił w sprawie zabójstwa generała. Dlaczego Pan broni swojego ulubieńca „Masę”? Niech Pan je go zapyta, dlaczego Papąła zginął! A właściwie Pan go nie musi pytać, bo Pan w czasie śledztwa doszedł do jakiejś wiedzy, tylko Pan z tej wiedzy szybko zrezygnował. Dlaczego? Niech się Pan z tego wytłumaczy! „ To tylko niektóre zdania, które wypowiedziałem w trakcie rozmowy z prokuratorem Mierzewskim.

Prowadzę wystawne życie. Dużo podróżuję, zwiedzam świat. Stać mnie na wiele. Po latach spędzonych w więzieniach, gdzie odpokutowałem za swoje przestępstwa, prowadzę życie uczciwego obywatela. Prowadzę legalną firmę, zarabiam pieniądze, płacę państwu podatki. Nie jestem złodziejem, nie okradam państwa. Jeżeli kiedyś to robiłem, to już dawno za to odpowiedziałem. Niech nikt nie myśli, że moje bogactwo wzięło się z okradania banków, napadów na sklepy, wymuszania haraczy. Byłem świadkiem powstawania wielkich fortun w sposób nieuczciwy. Wielu polskich biznesmenów, którzy uchodzą za uczciwych obywateli, ludzi zaradnych i przedsiębiorczych, na moich oczach bogaciło się w sposób nielegalny. Mógłbym podać kilka nazwisk powszechnie szanowanych biznesmenów, którzy potrafili przemycić do Polski kilkadziesiąt cystern spirytusu czy TIR-ów papierosów miesięcznie. Ale odpuśćmy sobie nazwiska, przynajmniej w mojej książce. Tak powstawały ich fortuny. I ja ich okradałem. Zabierałem im ich transporty. Nie mogli iść na policję, bo to, co sami robili, było okradaniem państwa. Oni nie mieli skrupułów, żeby okradać państwo. Zarobione nieuczciwie pieniądze lokowali w uczciwe interesy. Dzisiaj są szanowanymi

obywatelami, a nawet niektórzy z nich senatorami i posłami o podwójnej moralności. Potrafili okradać państwo na wielkie pieniądze, w tak zwanych „białych rękawiczkach„. Nie powiem, że to, co robiłem ja , to była kara za ich nieuczciwość. Nie takie mam poczucie sprawiedliwości. Ja po prostu korzystałem z nieuczciwości innych.

Na granicy opłaceni celnicy przepuszczali TIR - y z nielegalnie wwożonym spirytusem czy papierosami. Przemynika taka usługa kosztowała trzydzieści tysięcy marek. Ja dopłacałem dziesięć tysięcy i od tego samego przemynika miałem „cynk” o przepuszczanych samochodach z kontrabandą. Wystarczyło tylko zatrzymać taki samochód, „namówić” kierowcę do oddania kluczyków i zabrać transport. Z czasem zacząłem płacić celnikom drugie tyle, co przemynik. Tak więc bywało tak, że za j e den przepuszczony samochód celnik dostawał sześćdziesiąt tysięcy marek. Wszyscy byli zadowoleni z wyjątkiem właściciela transportu, który n i e dość, że zapłacił za towar i opłacił celnika, to jeszcze w konsekwencji tracił wszystko. Czasami bywało tak, że opłacony celnik na moją prośbę zatrzymywał przez kilkanaście godzin TiR-a na granicy, żebym miał czas zorganizować odpowiednią ekipę i dotrzeć na miejsce.

Nigdy nie zdarzyło się, żeby uszkodzony zawiadomił policję. Nie mógł tego zrobić, gdyż sam nie był w porządku. W ten sposób rosły w Polsce fortuny, a ja przy okazji uszczknąłem z tego troszeczkę. Był to rodzaj „podatku”, nakładany na nieuczciwych obywateli.

Pieniądze to władza i szacunek. Pieniądze dają poczucie siły, pozwalają przyporządkować sobie innych ludzi. Ludzie bogaci rządzą tym światem. Ja swoją pozycję i szacunek zawdzięczam nie tyle pieniądzom, które posiadam, co poszanowaniu zasad, na które składają się honor, wierność i lojalność wobec przyjaciół. W obronie tych ideałów byłem bezkompromisowy. Gdy po wielu latach odsiadki wyszedłem na wolność, miałem już

ugruntowaną opinię człowieka twardego i nieustępliwego w obronie swoich zasad. Krążyła też opinia, wyniesiona z więzienia, o niepokonanym „Słowiku” i o jego okularach. Anegdotyczna jest już historia moich okularów i wszystkiego, co z nimi jest związane. Zawsze dbałem o to, żeby mieć dobre, markowe okulary. Zależało mi nie tylko na tym, żeby dobrze widzieć i interesująco wyglądać, ale żeby poprzez okulary nadać sobie wygląd osoby poważnej, statecznej. Chciałem, żeby postrzegano mnie raczej jak o intelektualistę, a nie chuligana. Okazało się, że skutek był odwrotny. Ilekroć przebywałem w jakimś barze czy restauracji, zawsze na mnie skupiała się uwaga „klientów”, którzy szukali awantury, chcieli popisać się przed towarzystwem, że kogoś mogą pobić. Wybór zazwyczaj padał na mnie, jako że jestem raczej niepozornej postury, a przy moich 170 cm wzrostu i złotych okularach wyglądam raczej na „lamusa”, którego łatwo można zlać.

Przebieg takich awantur był zazwyczaj taki sam. Podpity facet podchodził do baru, rozpychał się, trącał mnie, zaczynał mi ubliżać. Rozmowa przebiegała zwykle w ten sposób:

- Słuchaj, misiu - mówię - nie trącaj mnie i mnie nie denerwuj, bo cierpliwość mi się kończy.
- Tak, pokaż w jak i sposób. I kiedy poczułem rękę takiego gościa na moim ramieniu, czy wręcz mnie szarpnął, odpowiadałem:
- Proszę uprzejmie - mówiłem i zdejmowałem okulary. Facet dostawał w łeb, zamiatałem n im bar, lub wrzucałem go na stojące w jednej linii butelki za barmanem, w zależności od tego, jak bardzo mnie zdenerwował.

Po pewnym czasie wszyscy, którzy mnie znali wiedzieli, że jak zdejmę okulary to będzie awantura i jak najszybciej wychodzili. A ochroniarze lokalu, zamiast mnie uspokajać, musieli wynosić „niegrzecznego” klienta.

Do tej pory tylko raz zdarzyło się, żebym po zdjęciu okularów nie zbił faceta. Wyjątek ten dotyczy mojego znajomego Filipa



Wyganowskiego, syna byłego prezydenta Warszawy. Filip doprowadził mnie do takiego stanu, w którym zdejmuję okulary i daję w mordę. Tym razem, po zdjęciu okularów przyszła refleksja, że jednak On miał rację i nie mogę Go za to zbić. Założyłem okulary z powrotem. Potrafię docenić ludzi, którzy mówią prawdę, patrząc mi w oczy. Ja i wszyscy świadkowie tego zdarzenia podaliśmy Filipowi ręce. Dzisiaj potrafimy śmiać się z tamtej sytuacji, a całe zdarzenie krąży po Warszawie jako anegdota. To Filip odkrył we mnie i rozbudził zamiłowanie do sztuk pięknych, szczególnie do malarstwa. Wielokrotnie zabierał mnie na wernisaże, wystawy i aukcje, odkrył bowiem, że w mojej obecności robi doskonałe interesy. Dziwiło mnie, dlaczego zawsze przed rozpoczęciem aukcjami Filip przedstawiał mnie wszystkim jak o „Słowik”. Zrozumiałem to, kiedy zaczęła się licytacja.

Cena wywoławcza. - Kto da więcej? Filip podnosi chorągiewkę. Wszyscy patrzą na niego i na mnie. Widząc mnie, rezygnują z dalszej licytacji. Nikt nie odważył się przelicytować Filipa. Za najniższą cenę kupował upatrzony obraz.

Pewnego razu znalazł się dowcipniś, który chciał przelicytować Filipa. Wówczas Filip przekazał mi chorągiewkę, żebym to ja uczestniczył w licytacji. - Kto da więcej? - słyszę pytanie prowadzącego licytację. Filip kopie mnie w kostkę, ja podnoszę chorągiewkę i spoglądam na dżentelmena, który chciał mnie przelicytować. Dżentelmen opuścił swoją chorągiewkę i ani drgnął. I tak było wielokrotnie.

Ale powracając do historii moich okularów, po pewnym czasie po całej Polsce rozeszła się plotka o niepokonanym „Słowiku”. Gdzie się nie pojawiłem, znajdowali się chętni do sprawdzenia się ze mną. Już nie tak jak wcześniej dlatego, że wyglądałem na „fajera”, którego łatwo zlać i popisać się przed panienką, ale dlatego, że niejeden chciał udowodnić, że jest lepszy od „Słowika”. Wszystkie pojedynki kończyły się podobnie; krótkie

spięcie i karetka zabierała „delikwenta”. Nigdy nie bawiły mnie takie historie, po prostu zmuszany byłem do obrony, a że przez lata ćwiczeń nabrałem sporej wprawy, zawsze wychodziłem z tych pojedynków zwycięsko. Tylko że nie zawsze pokonani potrafili pogodzić się z przegraną, o czym niech zaświadczy poniższa historia.

Mam bardzo atrakcyjną żonę, z którą często bywam w restauracjach, na dyskotekach, na różnych przyjęciach. Jej uroda powoduje, że bardzo często jest podrywana przez facetów. Ilekroć jesteśmy w miejscach publicznych widzę zainteresowanie, jakie wzbudza swoją osobą. Czasami bywają z tego powodu kłopoty. Jesteśmy razem na dyskotece. Znam wielu ludzi, każdy chce ze mną przez chwilę porozmawiać. Zostawiam Monikę przy barze, a sam idę załatwiać interesy. Gdy wracam, stoi koło niej jakiś facet i najwyraźniej ją podrywa.

- Przepraszam bardzo - mówię - to jest moja żona, i jak możesz, to odpuść sobie.

- Każdy tak mówi o byle jakiej „dupie”.

- Chwileczkę, to nie jest byle jak a „dupa”, tylko moja żona i bądź uprzejmy odejść.

- To ty, malutki odejdz - mówi do mnie i mnie odpycha.

- Słuchaj, człowieku, możemy rozmawiać godzinami, tylko mnie nie dotykaj. . Nienawidzę, jak ktoś mnie dotyka. A przede wszystkim w obecności mojej żony. Nie słyszysz tego, k..., że to jest moja żona?

- Nie.

- To zaraz usłyszysz.

Zdejmuję okulary i tak go „leję”, że bramkarze zamiast mnie wyprowadzić, jego wynoszą na zewnątrz. Facet dostał ataku padaczki. Przyjechała karetka reanimacyjna i faceta z trudem uspokoili. Później okazało się, że facet po tym zdarzeniu wielokrotnie odgrażał się, że mi nie daruje, że się zemści.



Andrzej z Moniką

Człowiek nie umiał przyjść i porozmawiać, wyjaśnić całego nieporozumienia. Nie potrafił pogodzić się z myślą, że został pobity. A że był to, jak się to okazało, młody „gangster”, który starał się zdobyć prestiż w środowisku uważał, że odstępienie od zemsty nadszarpnie jego autorytet.

Postanawia zemścić się w sposób okrutny. Pod dom, w którym mieszkam, podkłada bombę. Jest to kilka kilogramów trotylu, do tego gwoździe i śruby, które w momencie wybuch mają mnie dodatkowo ranić. Do całej konstrukcji dołączony jest akumulator samochodowy, który pozwala zdetonować bombę na odległość. Wszystko to jest zakopane w ziemi w pobliżu bloku na ulicy Broniewskiego w Warszawie, gdzie wtedy mieszkałem.

Bomba miała eksplodować w dniu moich imienin, w Andrzejki. Taki prezent przygotował mi pałający zemstą bandzior. Z Moniką jedziemy na zakupy, ponieważ zaprosiliśmy gości i musimy ich czymś przyjąć. W drodze powrotnej mam odebrać z przedszkola córkę Sarę. Monika upiera się, żebyśmy najpierw pojechali do domu i zostawili zakupy, a później już ja sam pojedę do przedszkola po córkę. Przez jakiś czas sprzeczymy się o to, w końcu zgadzam się na takie rozwiązanie. I być może upór żony uratował życie mojej córce. Podjechaliśmy pod dom. W tym czasie, kiedy wyładowywaliśmy zakupy, zamachowcy postanowili zdetonować bombę. Ale zrobili to w złym momencie. Bomba wybuchła za wcześnie.

Wszystko trwało ułamki sekund. Słyszymy ogłuszający huk. Siła wybuchu rzuca nas na ziemię. Swoim ciałem zasłaniam Monikę, po prostu rzucam się na nią. Z okien dziesięciopiętrowego bloku wylatują wszystkie szyby, a ich odłamki jak grad sypią się na nas. Mam pokaleczone całe plecy i połowę twarzy, której nie zasłoniłem. Kilka odłamków bomby rani Monikę. Jestem na tyle przytomny, że chwytam ją na ręce i próbuję przenieść jak najdalej od tego miejsca. Każę jej uciekać. Wiem, że za chwilę zamachowcy przyjdą nas dobić. Wstaję i krzyczę - Chodźcie! Nie uciekam. Chcę, żeby dokładnie mnie widzieli, żebym to ja był ich celem, a nie Monika. Ale na szczęście z jakiegoś powodu zrezygnowali.

Policja wykopała w pobliżu drugą bombę, której zamachowcy nie zdążyli zdetonować. Na szczęście dla nas, albo nerwy odmówiły im posłuszeństwa, albo coś ich wypłoszyło, w każdym bądź razie nie dokończyli dzieła. Po jakimś czasie poznałem sprawców, ale to już całkiem inna historia.

Za przykład, jak duże wrażenie robiła na ludziach opinia o moich umiejętnościach, niech świadczy historia moich spotkań z Andrzejem Gołota. Myślę, że nikomu nie muszę tłumaczyć, kim jest Andrzej Gołota. W początkach kariery został brązowym

medalistą olimpijskim, a po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych stoczył kilka spektakularnych pojedynków, między innymi z byłym mistrzem świata Riddickiem Bowe, Lennoxem Lewisem, czy Mike'm Tysonem. Był pupilem prezesa Polskiego Związku Bokserskiego, mecenasa Jacka Wasilewskiego, który, nawiasem mówiąc, wielokrotnie pomagał Gołocie w jego kłopotach z prawem. Gołota nie potrafił poradzić sobie z sukcesem, jak i odniósł na ringu amatorskim. Zaczął nadużywać alkoholu. Popadł w konflikt z prawem.

Skłonności Gołoty do bijatyk spowodowały, że w pewnym momencie zaczął być poszukiwany listem gończym i to było przyczyną, że wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Ale zanim to nastąpiło, ukrywał się w Ożarowie pod Warszawą, w domu znanego wszystkim „PersHINGA”. Ponieważ Gołota był wielki i dobrze się bił, „PersHING” zatrudnił go do swojej obstawy. Przy boku „PersHINGA” zaczął pojawiać się w różnych popularnych dyskotekach i restauracjach, w których i ja bywałem. Dzięki temu w którymś momencie Gołota stanął na mojej drodze.

W towarzystwie przyjaciół bawiłem się w dyskotece „Olszynka”, gdy w pewnym momencie do naszego stolika podszedł Gołota i próbował się dosiąść.

- Przepraszam cię bardzo - mówię - to są moje koleżanki, może byś się przywitał i spytał, czy możesz się dosiąść.

- Koło dupy latają mi twoje kobiety - on na to.

- Skoro nie witasz się z moimi koleżankami, to się zrywaj - i w tym momencie ściągnąłem okulary.

Po wielu latach spotykamy się znowu, tym razem w agencji towarzyskiej, do której zaprosiłem kilku moich gości z zagranicy. Okazuje się, że klientem w tej agencji jest Pan Andrzej Gołota, mało tego, udaje, że mnie nie zna. Rozumiem, może nie przyznawać się do znajomości ze mną w telewizji, na ulicy, czy

gdziekolwiek w miejscu publicznym, ale nie w burdelu. Jest rozebrany, zasłonięty tylko ręcznikiem. Pamiętając o tym, jak kilka lat temu zlekceważył moją osobę, bardzo spokojnie mówię do niego:

- Słuchaj, misiu, natychmiast opuść ten lokal!

- Jak to? - pyta zdziwiony.

- Masz dwie sekundy!

I ten słynny Gołota grzecznie wychodzi poza t e r e n burdelu.

- A buty?

- Buty zostają tutaj na pamiątkę, bo jesteś słynnym bokserem. A teraz wynoś się stąd bez butów!

Nota bene, z tego co wiem buty te do dzisiaj wiszą na ścianie wspomnianej agencji towarzyskiej przy ulicy Poetów w Warszawie i czekają na autograf właściciela.

Po pewnym czasie telewizja pokazuje walki Gołoty ze Stanów Zjednoczonych. Próbuje wykreować go na mistrza świata. Walczy On z najlepszymi bokserami i nadal pracuje dla „PersHINGA”. „PersHING”, dla którego pracował Gołota, to oddzielny akapit w życiu przestępczym naszego kraju. To człowiek o niesamowitym talencie organizacyjnym, chociaż największy talent „PersHINGA” był do przegrywania wielkich fortun w grach hazardowych. Był ulubionym klientem nie tylko europejskich kasyn i wyścigów konnych, ale również miejsc hazardu z drugiej strony oceanu.

Z osobą „PersHINGA” wiąże się wiele nie wyjaśnionych do dzisiaj historii. Na przykład jak mógł dokonać tego, że straciłem wizę amerykańską. W Stanach Zjednoczonych spędziłem w sumie chyba dwa lata, bywałem w najlepszych hotelach, grywałem w najlepszych kasynach, w Las Vegas wziąłem ślub z moją żoną Moniką. Gdy starałem się o przedłużenie wizy amerykańskiej traktowano mnie jak VIP-a, dostałem wizę na dziesięć lat. Gdy po raz kolejny chciałem wyjechać do Stanów Zjednoczonych ambasada amerykańska powiadomiła mnie i moich przyjaciół,

że wizy zostają nam odebrane i jesteśmy w Ameryce persona non grata. Wszyscy, z wyjątkiem „Pershinga”. On nadal podróżował do Stanów Zjednoczonych, a my nie. Jak i była w tym jego rola?

Do końca nie są wyjaśnione powiązania „Pershinga” i jego wspólnika „Masy” ze światem znanych biznesmenów. Tajemnicą poliszynela są ich powiązania ze znanym biznesmenem i senatorem, o który mówi się, że wykorzystując swoje układy wszedł w spółkę z „Pershingiem” i „Masą” i razem dokonali nadużyć na ogromną skalę przy odzyskiwaniu podatku VAT od obcokrajowców.

Interes szedł tak dobrze, że szkoda było dzielić się olbrzymimi zyskami ze wspólnikami. To „Masa” miał największy interes w tym, żeby wyeliminować wspólników.

Niewyjaśnione są również do końca okoliczności śmierci byłego wicepremiera Ireneusza Sekuły. W tajemnicy utrzymuje się fakt, że w ostatnim okresie życia spotykał się on z „Masą” i „Pershingiem” i prowadził z nimi jak i e ś interesy. Mówiło się nawet o dwóch milionach dolarów, które rzekomo był im winien. Nagle Sekuła zostaje znaleziony w swoim biurze z czterema ranami postrzałowymi, które jak o b y sam miał sobie zadać. Cała Warszawa mówiła o tym, że poprzedniego dnia „Pershing” z „Masą” złożyli mu wizytę w jego mieszkaniu.

## Czy mafia zastraszyła Sekułę

**Problemy finansowe zostały przez prokuraturę i policję przyjęte za najbardziej prawdopodobny motyw depresji i podjęcia próby samobójstwa przez Ireneusza Sekułę, b. wicepremiera, b. szefa GUC i b. posła SLD. Z ustaleń „Rz” wynika ponadto, że policja sprawdza operacyjne informacje o próbie wymuszenia od niego przez mafię pruszkowską zwrotu długu. Nieprzytomny Sekuła nadal przebywa w szpitalu.**

W piątek lekarze ze szpitala wojskowego przy ul. Szaserów nadal określali stan zdrowia Sekuły jako „ciężki, ale stabilny”. Jego podstawowe funkcje życiowe podtrzymuje aparatura, oddycha za pomocą respiratora, jest podłączony do kroplówki, podawane mu są środki nasenne.

— Nie ma żadnych przesłanek, by podejrzewać udział osób trzecich. Zakładamy, że to była próba samobójstwa — powiedział „Rz” Luejan Nowakowski, szef Prokuratury Okręgowej w Warszawie. Prowadząca śledztwo prokuratura śródmiejska zebrała dowody, w tym odzież i broń, oraz zabezpieczyła ślady w biurze przy ul. Brackiej. Czeka jednak jeszcze na wyniki badań daktyloskopijnych i balistycznych broni, z której padły strzały.

Dotychczas ustalono, że tylko dwie kule tkwiły w ciele Sekuły, ponieważ trzecia przeszła na wylot (znaleziono ją w biurze). Potwierdzono też, że z sześciostrzałowego rewolweru strzelano trzy razy.

— Najprawdopodobniej będziemy musieli wszcząć postępowanie, ponieważ stan zdrowia pana Sekuły nie pozwala na uzyskanie od niego informacji o zdarzeniu — mówi prokurator Nowakowski.

Policja natomiast bada także inne okoliczności tej sprawy. Sekuła pozostawił w komputerze dwa listy. Jeden dotyczył spraw bieżących i dyspozycji dotyczących majątku. Drugi, określany jako list pożegnalny, nawiądywał o osobistej depr

problemami finansowymi. Z informacji operacyjnych policji wynika, że Sekuła jest zadłużony (dokładna kwota nie jest znana, ale może być „znaczna”). Pieniądze miały być pożyczone m.in. od Andrzeja Kolińskiego, ps. Pershing, zastrzelonego kilka miesięcy temu w Zakopanem. Koliński deklarował przyjaźń z Sekułą.

— Po śmierci „Pershinga” i tymczasowym aresztowaniu Jarosława S., ps. Masa, w wielu działających legalnie firmach i u niektórych osób, nawet o znanych nazwiskach, pojawili się jednak inni przedstawiciele „Pruszkowa”, twierdzący, iż są „spadkobiercami” tamtych — powiedział „Rz” jeden z biznesmenów, mający kontakt z tym środowiskiem. Wśród „spadkobierców” wymieniani są Zygmunt R., Andrzej Z., ps. Słowik, Mirosław D., ps. Malina, oraz Janusz P., ps. Parasol, uważani za przedstawicieli „starego Pruszkowa” (z uwagi na najdłuższy staż w gangu) i stanowiący obecnie sztab zarządzający interesami tej grupy. Oni sami lub ich przedstawiciele pojawiają się w firmach, wyjaśniając, że „Pruszków” w nie zainwestował, i domagają się udziału w zyskach lub zapowiadają przejęcie firmy. W śledztwie prowadzonym po zabójstwie „Pershinga” ustalono, że zakres jego interesów i różnorodność branż były ogromne (działki i budynki, zwrot VAT, płyty CD i DVD, lokale gastronomiczne i hotele, kantory, produkcja i handel wodami mineralnymi, stadniny koni, handel papierosami i alkoholem, firmy handlowe, finansowe i pośrednictwa nieruchomości). Dodatkowym „zabezpieczeniem” interesów mafii w firmach, które pożyczają od niej pieniądze, byli m.in. ludzie podstawiani do zarządów. Pozwala to mafii kontrolować interesy, ale też daje możliwość szybkiego przejęcia firmy. Podobno „Pruszków” dysponuje listą dłużników „Pershinga” oraz informacjami z jego notesu o zainwestowanych w różne przedsięwzięcia

Policja nie wkleusza że

— soł



Byłem człowiekiem zbuntowanym, wielokrotnie niesłusznie mnie karano. Ale gdzieś głęboko w zakamarkach mojej duszy czułem, że nigdy nie byłem zepsuty. W moim sercu tliła się iskierka wiary w nawrócenie. Chciałem zawsze być człowiekiem dobrym, nie chciałem krzywdzić innych. Przez całe swoje świadome życie pragnąłem mieć księdza za przyjaciela. Miałby to być człowiek, który byłby dla mnie moralnym autorytetem, który pomógłby mi odnaleźć swoje miejsce w życiu, naprawić moją zbląkaną duszę. I ja znalazłem takiego człowieka w osobie księdza Kazimierza Korybut Orzechowskiego. Następuje kolejny zwrot w moim życiu. Przyjeżdżam do Skolimowa do domu byłego aktora i poznaję księdza Kazimierza. Moje pierwsze spotkanie z księdzem Kaziem to była spowiedź. Ale nie zwykła spowiedź w konfesjonale, tylko szczera rozmowa w cztery oczy. A nawet nie rozmowa, tylko mój monolog.

Ksiądz Orzechowski zabrał mnie do kaplicy i pozwolił mi przez godzinę mówić o wszystkim, co leży mi na duszy. Cierpliwie wysłuchał wszystkich moich grzechów, uwierzył w moją szczerą chęć naprawy, prowadzenia normalnego, uczciwego życia, takiego życia, abym mógł patrzeć ludziom prosto w oczy, aby nikt nie mógł mi niczego złego zarzucić. Postanowił mi pomóc.

Każda następna spowiedź przebiegała podobnie. Długa, szczera rozmowa, bez zadawania krępujących pytań. Nie klatka konfesjonału, krata, kiedy nie wiem, do kogo mówię. Mówiłem do człowieka, do księdza, któremu mogłem patrzeć w oczy. Z jednej strony On, żywy człowiek, z drugiej Ołtarz Jezusa Chrystusa. Po raz pierwszy był ktoś, kto chciał mnie wysłuchać. Mogłem mówić o wszystkim, co leżało na moim sercu. Mówiłem do tego wielkiego człowieka, a On cierpliwie słuchał.



Po spowiedzi na jeziorze

Z każdego spotkania z księdzem Kaziem wychodziłem szczęśliwy i uduchowiony. Czułem potrzebę bycia dobrym i rozdawania tego dobra innym, dzielenia się z innymi moim szczęściem. Tym wszystkim, co dostawałem od księdza Kazia, chciałem dzielić się z ludźmi.

Od tego momentu zaczęła się moja przyjaźń z księdzem

Orzechowskim. Jestem pod nieodpartym wpływem tego mądrego i szlachetnego człowieka. To dzięki Niemu zacząłem czytać literaturę piękną, bywać w teatrze, spotykać się z ludźmi kultury i sztuki. To On namówił mnie na studiowanie Pisma Świętego, z Nim odbyłem cztery pielgrzymki do Ziemi Świętej.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, kim jest ten wspaniały człowiek. Dla mnie był najwspanialszym powiernikiem i przyjacielem, człowiekiem, który leczy moją duszę. Był nie tylko moim ojcem duchowym, On zastąpił mi mojego ojca, który nie żył od wielu lat, a którego tak bardzo mi brakowało. A wkrótce miał zostać człowiekiem, który wskrzesi Andrzeja, dzięki któremu wejść na nową drogę życia.

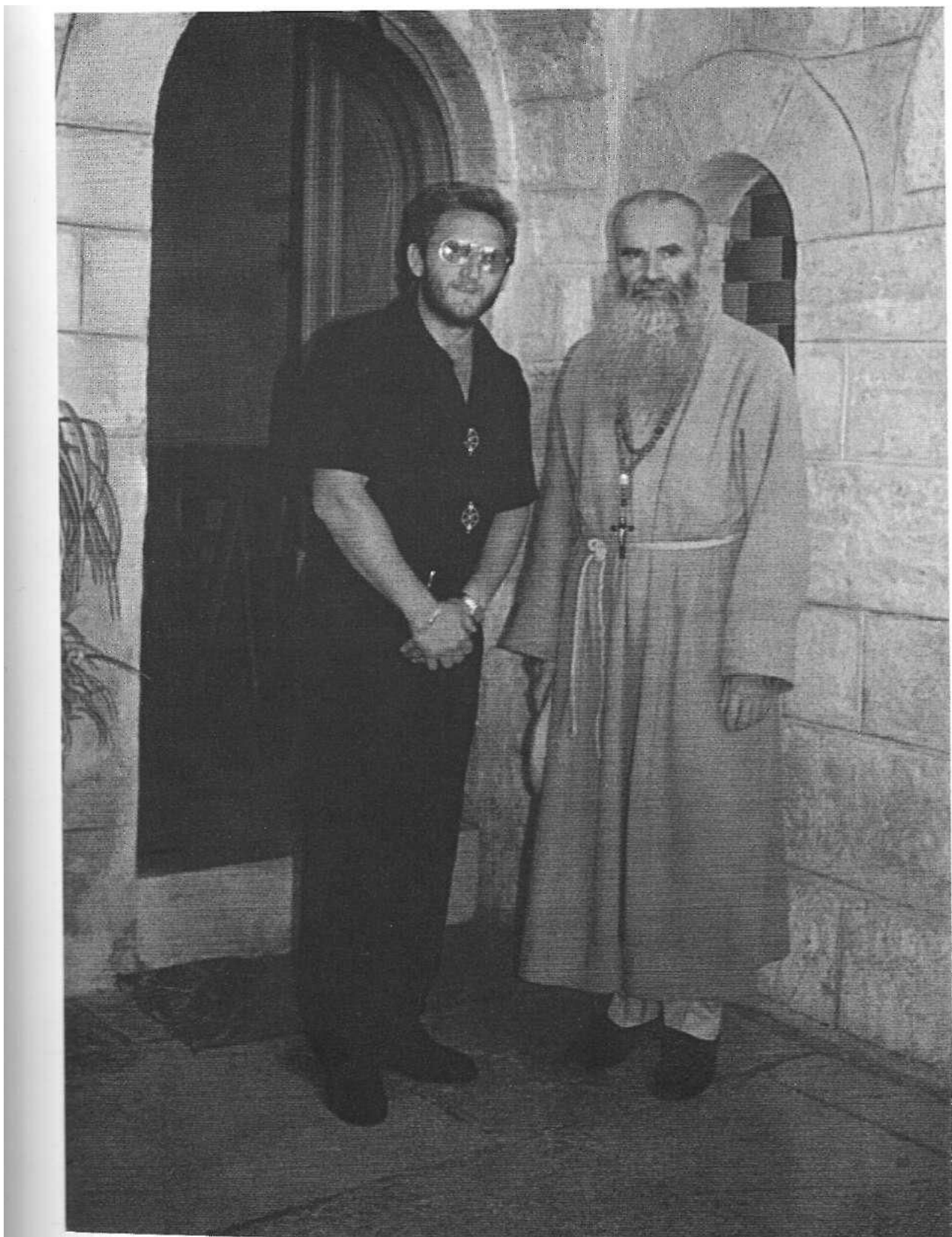
Kim jest ksiądz Kazimierz? Gdybym miał w sobie choć trochę skromności i pokory, ta książka byłaby tylko o Nim. On jest przyjacielem Ojca Świętego, On święcenia kapłańskie otrzymał od Prymasa Tysiąclecia Kardynała Stefana Wyszyńskiego, On jest przyjacielem wielkich tego świata, polityków, artystów, ale i ludzi takich jak ja, maluczkich. Nikt nie powie o Nim inaczej, jak kochany Kazimierz, nasz Kazio.

To z Nim Kardynał Karol Wojtyła ostatnią noc przed Konklawe spędza w klasztorze u Wizytek na ulicy Wiślanej w Warszawie. Następnego dnia Kardynał Karol Wojtyła leci do Rzymu. Zostaje wybrany na Papieża.

To przed Nim chylą głowy najwięksi politycy i biznesmeni. On jest kapelanem domu byłego aktora w Skolimowie. Bez Niego nie odbędzie się żadna premiera teatralna. Z Jego błogosławieństwem żenią się najślawniejsi polscy artyści. On pierwszy wita na świecie ich dzieci. On żegna największych polskich artystów na ostatniej drodze ich życia.

Od wielu lat jest On świadkiem wszystkich najważniejszych wydarzeń w moim życiu. W domu byłego aktora w Skolimowie udziela Chrztu Świętego mojej córce Sarze i błogosławi mój nieformalny

związek. Po latach jest świadkiem rozpadu tego związku.  
Podtrzymuje mnie na duchu, nie pozwala się załamać.  
Po wielu spotkaniach i długich, szczerych rozmowach,  
ksiądz Kazimierz proponuje mi udział w pielgrzymce do Ziemi  
Świętej. Co roku jest On przewodnikiem kilku oficjalnych  
pielgrzymek, ale zawsze jedna w roku jest Jego prywatną  
pielgrzymką, na którą zaprasza swoich najbliższych przyjaciół.  
Tym razem jednym z nich miałem być ja . Była to moja pierwsza  
pielgrzymka do Ziemi Świętej, ale jak się później okazało, chyba  
najważniejsza.



Spotkanie z duchownym w Jerozolimie

Jadę na pielgrzymkę z księdzem Kazimierzem, przez władze Izraela uznanym za najlepszego przewodnika - obcokrajowca po Ziemi Świętej. Mieszkamy w Domu Polskim w klasztorze Sióstr Elżbietanek w Jerozolimie. Jest to kilka pokoiów, przeznaczonych dla pielgrzymów z Polski. Mieszkamy w surowych warunkach cel klasztornych. Wędrujemy zgodnie z pismem Nowego Testamentu śladami Chrystusa. Ksiądz Kazimierz prowadzi nas do Betlejem, gdzie Jezus się urodził, Nazaret, gdzie się wychował, Galilei, gdzie nauczał i poznał swoich apostołów, po drodze krzyżowej i do Jerozolimy, gdzie został ukrzyżowany i gdzie zmartwychwstał. Ksiądz Kazimierz oprowadza nas po tych wszystkich miejscach, pomaga nam poznać i zrozumieć Pismo Święte.

Żyjemy w spartańskich warunkach i jesteśmy szczęśliwi, radośni. Poprzez poznawanie Pisma Świętego i historii, która ma dwa tysiące lat, każdy z nas próbuje odnaleźć w sobie radość życia, lepiej poznać siebie. Nauczyć się kochać innych. Ludzie wszystkich zawodów, aktorzy, wojskowi, biznesmeni, ludzie do tej pory nie przekonani do wiary, nawracają się. Zaczynają modlić się, z wielką pokorą zwracają się do Boga.

Ja jestem jednym z nich. Traktują mnie przyjaźnie, nikt mnie nie odrzuca, nie potępia. Mogę być taki sam jak ci ludzie. Okazuje się, że nie mam na czole wypisanego imienia „Słowik”, Nikt nie przypuszcza nawet, że ja to ten „groźny” bandzior, który przesiedział w więzieniach dziesięć lat życia.

Przez cały czas czuję, że ksiądz Kazimierz otacza mnie specjalną troską. Stale jestem pod jego opieką, stale mnie kontroluje.

Jakby bał się, że w pewnym momencie mogę coś zepsuć.

Zauważył to Krzysztof K, znany polski aktor, jeden z uczestników pielgrzymki. I to właśnie jemu ksiądz Kazio zleca opiekę nade mną. Przez miesiąc mieszkamy w jednej celi. Poznajemy się. Zdradzamy sobie swoje największe sekrety. Mówimy sobie o sprawach,

o których wie tylko On i ja . Z czasem nasza znajomość przekształca się w głęboką przyjaźń. Symbolem tej przyjaźni jest obrazek Matki Boskiej Opiekuńczej , który dostałem od Strażnika Grobu Pańskiego w Jerozolimie, a z którym to obrazkiem nigdy się nie rozstaję. Co wieczór przed snem Krzysztof miał zwyczaj czytać książkę. Bardzo mnie ciekawiło, co to za książka. Któregoś wieczora nie wytrzymałem, i spytałem Krzysztofa:

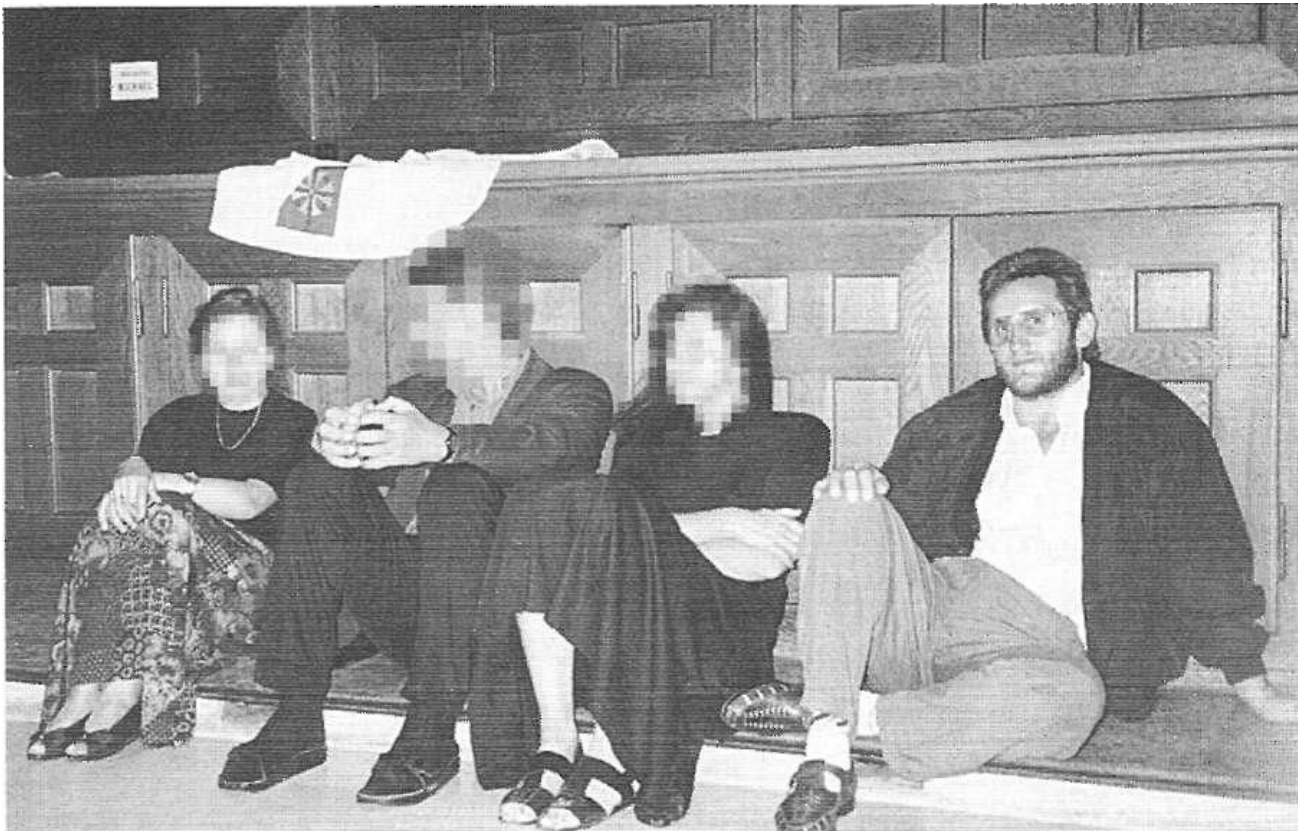
- Krzysiu, co ty tam czytasz tak uważnie?
- A, dostałem od Księdza Malińskiego taki brewiarz. Otwórz go, gdzie chcesz - odpowiedział, mi podając książkę.

Otwieram brewiarz na przypadkowej stronie, a Krzysztof zaczyna czytać tekst, który tam się znajdował:

*„Zaufaj sobie. Zaufaj, że potrafisz być uczciwy, że zachowasz się z godnością, że nie zdradzisz, że nie stchórzysz, że się nie upodlisz, że dasz sobie radę, że wypełnisz zadanie, które ci powierzono, że potrafisz kochać, być wiernym. Zaufaj sobie. Zaufaj drugiemu człowiekowi, że cię nie zostawi samego, że ci dochowa wierności, że cię nie opuści w chorobie, że ci pomoże, że cię zrozumie, że odkryje swój błąd. Zaufaj drugiemu człowiekowi. Zaufaj sobie. I nawet gdybyś się zawiódł, pamiętaj że to jest szczególny wypadek, który nie może przekreślić twojej ufności”*  
*Ks. M. Maliński*

Cały ten tekst Krzysztof K. przepisał z tyłu obrazka, do którego modliłem się co wieczór, tego samego obrazka, który dostałem od Strażnika Grogu Pańskiego. Pod spodem dopisał słowa:

*„Niech ci to rozważanie pomaga żyć rozważnie”  
Krzysztof K.*



Po mszy z przyjaciółmi

Krzysztofowi wydawało się, że ten tekst doskonale do mnie pasuje. Widocznie ksiądz Kazimierz musiał opowiadać Mu o mojej przeszłości. I to złe fatum, ta moja przeszłość miała nie opuścić mnie nawet tu, na pielgrzymce.

Krzysztof K. miał walizkę, w której przechowywał swoje osobiste rzeczy i oszczędności. I pewnego razu zginął Mu kluczyk od tej walizki. Cały zdenerwowany szukał tego kluczyka, sprawdzał we wszystkich zakamarkach celi. W poszukiwania zaangażowało się kilkanaście osób. Cella była pełna ludzi, wszyscy byli podenerwowani, podnieceni. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby podczas pielgrzymki coś zginęło. Gdy wszedłem do celi, całe to zamieszanie wydało mi się dziwne. Nie skojarzyłem sytuacji z moją osobą. Nawet nie angażowałem się w poszukiwania. Ale



w pewnym momencie pytam:

- O co chodzi Krzysiu, co tu się stało?

- Nie mogę otworzyć walizki, klucz mi się gdzieś zapodział.

- Ale co chcesz, klucz znaleźć, czy otworzyć walizkę? Czy jak Ci otworzę walizkę, to Cię to uspokoi? Ja Ci ją otworzę.

Po czym, korzystając z moich umiejętności, które nabyłem w czasie przebywania w więzieniach, na oczach wszystkich zgromadzonych ludzi otworzyłem walizkę. Gdy Krzysztof sprawdził zawartość walizki i stwierdził, że nic nie zginęło, zobaczyłem ulgę na jego twarzy. Chwilę później znalazły się kluczyki. Były w spodniach, które Krzysztof oddał Siostrom do prania. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że byłem podejrzewany o kradzież. Piętno mojej przeszłości dopadło mnie w Ziemi Świętej. Od tego zdarzenia Krzysztof nabrał do mnie takiego zaufania, że już nigdy nie zamykał walizki.

Przychodzi ostatni dzień pielgrzymki. Droga Krzyżowa.

Idziemy od stacji do stacji śladami Jezusa Chrystusa. Każdy z uczestników pielgrzymki na przydzielonej mu stacji może powiedzieć coś od siebie, swoje przemyślenia, odczucia. Ja też mam swoją stację.

„Trzeci upadek Jezusa Chrystusa. Chrystus upadł po raz trzeci. Po raz trzeci podniósł grzechy świata w postaci krzyża. Dał radę podźwignąć się i iść dalej.

Czasami i nam powinie się noga, mały problem powoduje, że nie możemy dać sobie rady w życiu. Wtedy trzeba patrzeć na Chrystusa. On miał większe problemy, większy ciężar, dał radę i szedł dalej. Nie załamujmy się niepowodzeniami, które nas spotykają. Może to jest nasza droga krzyżowa, nasze cierpienie". W czasie tych słów, które wypowiadam przy trzecim upadku Chrystusa, podnoszę w górę krzyż i całuję go. I wtedy widzę jak niektórzy z nich, butni, zarozumiali, którzy jeszcze niedawno powątpiewali w sens pielgrzymki, zaczynają płakać. Przepraszają za zwątpienie, niewiarę w istnienie Jezusa Chrystusa. Wszyscy

łamią się duchowo.

Podczas moich czterech pielgrzymek nie widziałem człowieka, którego ksiądz Kazimierz by nie „złamał” Pismem Świętym.

I to nie tylko j e g o zasługa. To bliskość Ziemi Świętej powoduje, że każdy zaczyna rozumieć, jak i jest malutki względem historii i Jezusa Chrystusa. Mądry czy głupi, silny czy słaby - jesteś tylko człowiekiem. Ksiądz Kazimierz nam to pokazuje.

Jezus też miał swoje więzienie. Ja byłem w tym miejscu. Na linach spuszczone Go do lochu. Przykuty do skały, torturowany, osamotniony. J e g o pierwsze więzienie, „izolatka na "brzózkach" w „Mielęcinie”. Nie ma matki, która wytarłaby mu spocone czoło. Nikt nie poda mu wody. Święty Piotr wyparł się Go, Apostołowie Go opuścili. Bez przyjaciół. Osamotniony i niewinny. I wtedy j a , odmieniony duchowo, przywrócony życiu i natchniony mówię księdzu Kaziowi:

*„Tu umarł Słowik, narodził się Andrzej”*

Podczas tej pierwszej pielgrzymki zakochałem się w Ziemi Świętej. Od tej pory, kiedykolwiek wiedziałem, że ksiądz Kazio prowadzi pielgrzymkę, rezygnowałem ze wszystkich dobrodziejstw, zostawiałem wszystkie sprawy i jechałem z Nim, do mojej ukochanej Ziemi Świętej. Do tych miejsc, gdzie „narodził em się ponownie”.

- I l e jest świętych ewangelii? - pyta Ksiądz Kazimierz.

- Cztery - i je wyliczam.

- Nie - odpowiada Ksiądz. – Jest ich pięć. Piątą jest Ziemia Święta i ja nauczę Cię J ą kochać.

Czasami ksiądz Orzechowski przyjmował mnie w swoim prywatnym pokoju w Skolimowie. Byłem wtedy bardzo szczęśliwy, bo mogłem prowadzić z nim swobodną rozmowę, nieskrępowany dostojeństwem kaplicy. Podczas jednej z takich wizyt Kazio powiedział mi o problemie, jak i miała jedna z sióstr zakonnych, które tam służyły.

- Słuchaj - mówi - mam problem. Niedługo jadę z pielgrzymką



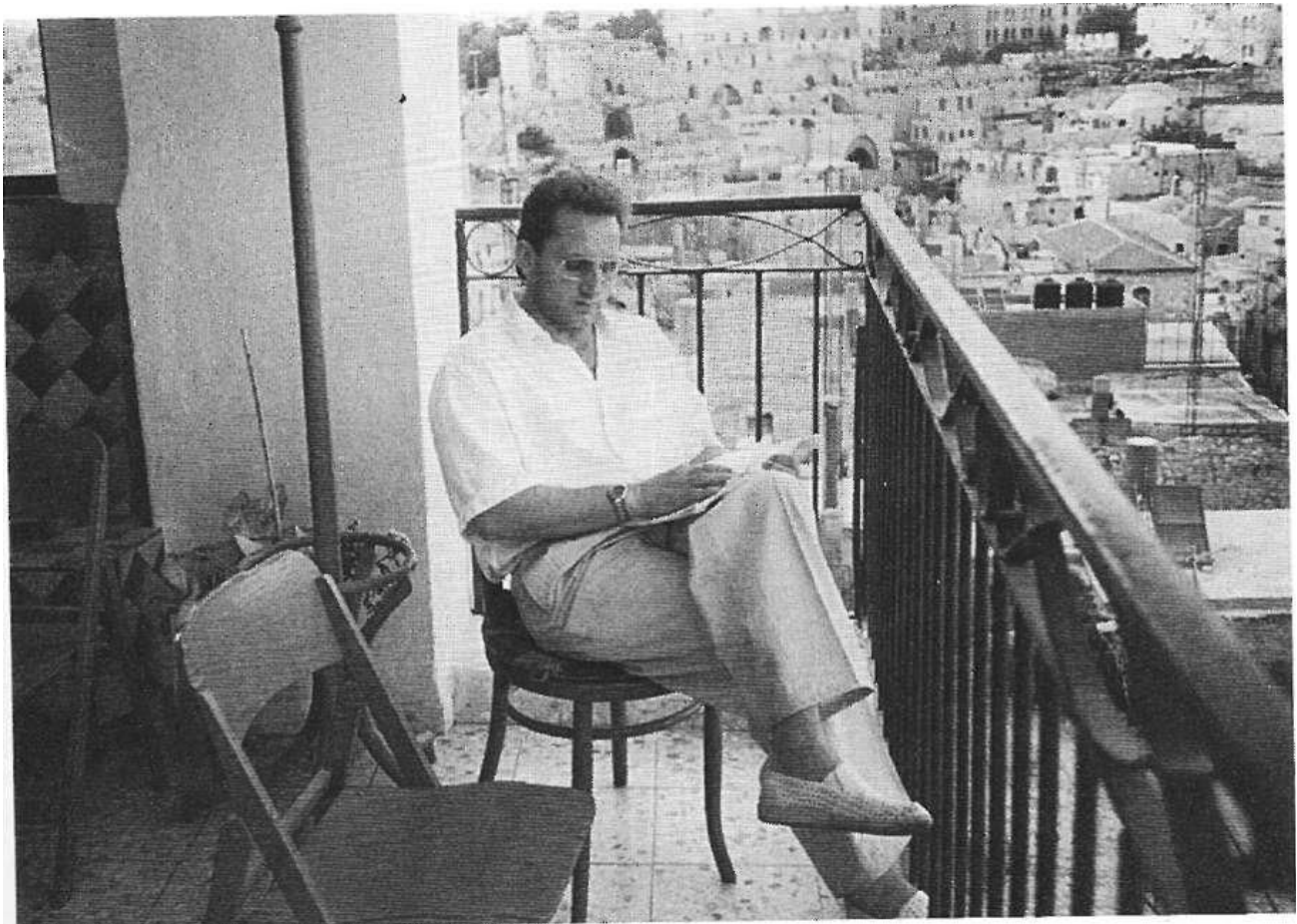
Przed świątynią w Jerozolimie

do Ziemi Świętej, a okazuje się, że jednej z sióstr nie stać na to. Matka przełożona wyraziła zgodę na J e j wyjazd, ale Ona nie ma wystarczająco dużo pieniędzy. Bardzo chciałbym zabrać J ą ze sobą. Po dwudziestu latach służby zakonnej spełniłoby się J e j marzenie. Próbuję zbierać pieniądze od wszystkich, którzy tylko mogliby mi pomóc. Już niewiele mi brakuje. Czy ty mógłbyś mi w tym pomóc?

- Nie wiem, czy potrafię, bo to może jakaś wygórowana suma? Jakaś niewielką kwotę mógłbym na to przeznaczyć. A On na to:

- Cokolwiek. Każde pieniądze się liczą.

Okazało się, że to „cokolwiek” to była kwota, jaką nie raz



Andrzej podczas czytania biblii, Jerozolimie



Ślub Andrzeja i Moniki w Jerozolimie

wydawałem na przeciętną kolację w barze. Co więcej, księdzu nie tylko, że nie brakuje niewiele, ale jeszcze wcale nie zaczął zbierać. Ja byłem pierwszą osobą, do której zwrócił się z prośbą. Nie tylko pomogłem wtedy tej siostrze, ale jeszcze sam pojechałem z tą pielgrzymką. Podczas którejś kolejnej wizyty w Skolimowie wydałem się przed Siostrą Miriam, że muszę się spieszyć, bo w samochodzie przed bramą ktoś na mnie czeka.

- A kto tam czeka? - pyta Siostra Miriam.

- Moja dziewczyna, narzeczona, Monika - odpowiadam zmieszany.

- O Jezu , to ja nic o tym nie wiem, a ona tyle godzin tam czeka! Szybko pobiegła do księdza Kazimierza.

- Kaziu, tam j e g o narzeczona Monika czeka, a on tu u nas siedzi. Jak to jest?

- Szybciutko mi t u j ą przyprowadź, skoro to jest Twoja narzeczona, muszę natychmiast Ją poznać. Leć szybko i nie dyskutuj! Przyprowadziłem Monikę i przedstawiłem Ją wszystkim moim przyjaciółom. Monika poskarżyła się, że ilekroć przyjeżdżałem do Skolimowa, Ona musiała czekać na mnie w samochodzie przed bramą. Ksiądz Kazimierz zażądał, żebym od tego razu j u ż zawsze zabierał Monikę ze sobą. Możemy rozmawiać osobno tylko we dwóch, ale Monika musi przyjeżdżać ze mną. Doszło do tego, że podczas naszych wizyt ksiądz Kazimierz więcej czasu poświęcał Monice, niż mnie. Wypytywał Ją , jak długo ze sobą jesteśmy, jakie są nasze plany na przyszłość. Monika zdradziła się przed Nim, że zamierzamy się pobrać. I wtedy ksiądz Kazimierz zaproponował, że udzieli nam Ślubu podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej.

Moja trzecia pielgrzymka. J a d ę ze swoją narzeczoną Moniką.

Jak „Pan Bóg pozwoli" ksiądz Kazimierz udzieli nam ślubu w miejscu niezwykłym - w Nazarecie, w domu Jezusa Chrystusa.

Nie tam, gdzie się urodził, nie tam, gdzie został ukrzyżowany i zmartwychwstał, ale w miejscu dla Niego najważniejszym - w Jego domu rodzinnym. Tam, gdzie Maria została natchniona przez

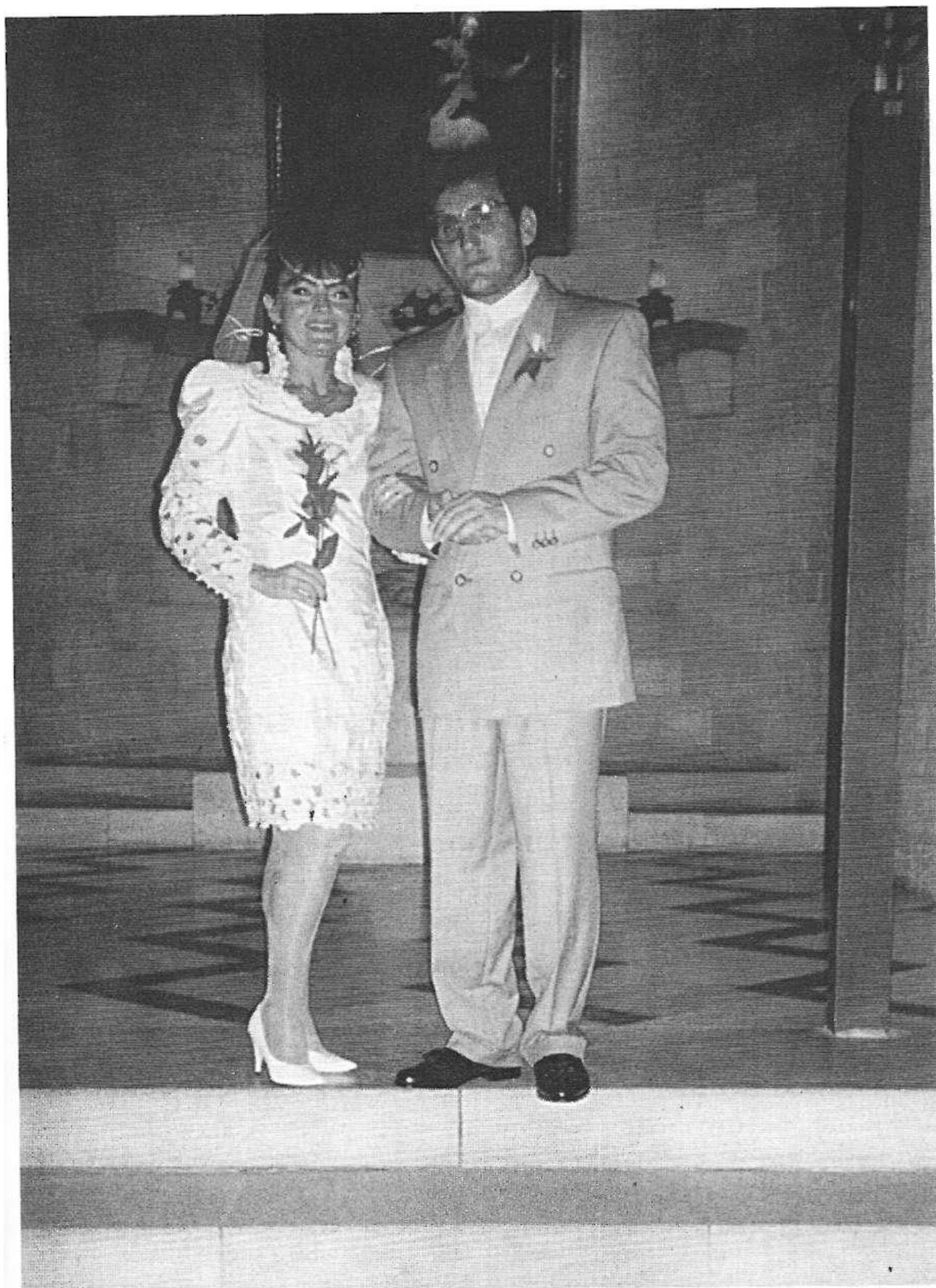


Ducha Świętego, a zwiastunem dobrej nowiny był Archanioł Gabriel, gdzie razem z Józefem wychowywali małego Jezusa. W Polsce załatwiam wszystkie niezbędne formalności. Nie chcę, aby nasz ślub był tylko symboliczny. Chcę, aby to był legalny ślub, honorowany przez Kościół. Piętrzą się trudności, wydawałoby się nie do pokonania. Moja kryminalna przeszłość powoduje, że ambasada Izraela zatrzymuje paszporty wszystkich uczestników pielgrzymki.

Przeze mnie na pielgrzymkę mają nie pojechać zacni ludzie, sławni aktorzy, ludzie kultury. Pomaga mi ksiądz Kazio i grono jego przyjaciół. Poznaje Prymasa Polski Kardynała Józefa Glempa, któremu muszę tłumaczyć całą sytuację. To wtedy poznaje Szymona Szurmieja, którego interwencja wystarczyła, żebyśmy odzyskali paszporty i żeby pielgrzymka doszła do skutku.

Wydawało się, że wszystkie przeszkody mamy już za sobą, że spełni się moje marzenie i w domu Chrystusa wezmę ślub z Moniką, kobietą mojego życia. Autokarem jedziemy do Nazaret, na miejsce ślubu. W pewnym momencie na drodze autokaru pojawia się ogromny, dwumetrowy wąż. Przejeżdżamy po nim. Symbol diabła, grzechu, pozostaje za mną. Wyzwoliłem się od złych ludzi, którzy po raz kolejny próbowali przeszkodzić mi w moim szczęściu. Jesteśmy już tak blisko. Jeszcze chwila i połączymy się w świętym sakramencie zaślubin. Nagle pojawia się jeszcze jedna przeszkoda.

Kustosz bazyliki, której część stanowi dom Chrystusa, odmawia podpisania aktu ślubu, bo nie mamy ze sobą paszportów, które zostały w sejfie u Sióstr Elżbietanek. Dla bezpieczeństwa mamy ze sobą tylko kopie dokumentów. W tym momencie ksiądz Kazimierz



Ślub Andrzeja i Moniki w Jerozolimie



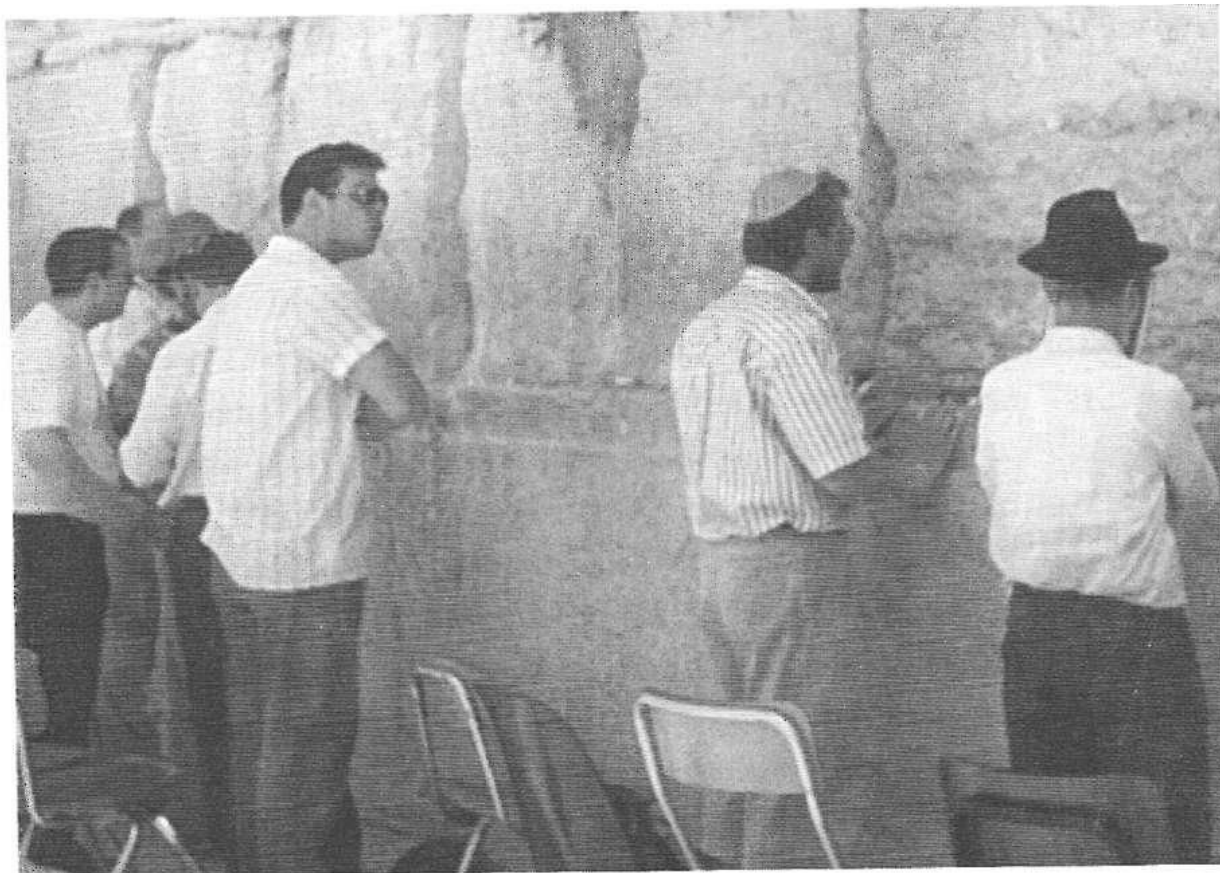
kładzie na szalę swoje kapłaństwo, mówiąc do kustosa bazyliki:  
- Obaj jesteśmy kapłanami - jeżeli nie pozwolisz mi udzielić ślubu  
tym dwojgu, to swoje kapłaństwo wyrzucę do kosza, nie  
będzie ono nic warte.

I to wystarczyło. Otwiera bramy kaplicy, znajdującej się w Świętej  
Grocie Nawiedzenia Maryi. Przy dźwiękach muzyki wchodzimy  
do domu Chrystusa i w obecności pielgrzymów - świadków,  
ksiądz Orzechowski wraz z księdzem Ireneuszem i Wikariuszem  
lubelskiej parafii udziela nam ślubu.

Po tylu przeszkodach, problemach, Pan Bóg pozwala mi  
wziąć ślub w takim miejscu. W tej małej grocie, w której żyła  
rodzina Jezusa Chrystusa. Najważniejszym miejscu dla Niego i  
Jego rodziny. I najważniejszym dla mnie. Mam swoją wymarzoną  
rodzinę. Wziąłem ślub z ukochaną kobietą, która po latach urodzi  
mi syna.

Ktoś powie: „Miałeś pieniądze, mogłeś załatwić sobie ślub  
w dowolnym miejscu na ziemi”. Ale uwierzcie mi, że nie wydałem  
ani grosza, aby ten związek tam się uwieńczył. To Bóg pozwolił  
mi na to, abym pomimo piętrzących się przeszkód wziął  
ślub właśnie tam.

Pięć lat później kolejna pielgrzymka. Kana Galilejska. Miejsce,  
w którym Chrystus dokonuje swojego pierwszego cudu - zamienia  
wodę w wino. Piąta rocznica mojego ślubu. Dokonuje się  
kolejny cud w moim życiu - ksiądz Orzechowski udziela mi  
ponowienia ślubów. Mnie, wielkiemu grzesznikowi, nawróconemu  
na drogę człowieczeństwa i wiary. Jest wrzesień 2000 roku.  
Tak jak ksiądz Orzechowski był moim zbawieniem w życiu  
poza murami więziennymi, tak ja byłem Jego pomocą w jego  
służbie więziennej. Ten szlachetny człowiek podjął wyzwanie



Każdy z nas ma swoją ścianę płaczu

bycia kapelanem więziennym, podjął próbę nawracania największych przestępców, ludzi bez wiary i skrupułów.

Wyobraźcie sobie mszę świętą w więzieniu. Skazańcy z całego więzienia przychodzą tu nie po to, aby się modlić, spotkać z Bogiem. Oni przychodzą tam, aby załatwić sprawy, których nie załatwią w celi.

Podczas mszy świętej handluje się papierosami i narkotykami, wymienia „grypsy”, gwałci „cwela”. Więźniowie kłócą się, bluźnią, nikt nie zwraca uwagi na księdza i ofiarę mszy świętej. Załamany ksiądz Kazio przychodzi do mnie po kolejnej wizycie w więzieniu i prosi o pomoc. Nie wie, dlaczego nikt Go nie słucha, nie wie, jak ma z tymi ludźmi rozmawiać. Jest załamany, bliski rezygnacji. I wtedy zrozumiałem, że nadszedł ten moment, kiedy mogę chociaż częściowo odpłacić Mu za całe dobro, jakie dla mnie do tej pory uczynił.

- Ze wszystkich więźniów, którzy są na mszy, wybierz tego, który Ci najbardziej przeszkadza, największego bandytę. Zaproś go do ołtarza i powiedz: „Chciałbym, żebyś grypsował z tego miejsca, tak żeby cię wszyscy słyszeli. Nie grypsuj po cichu, za plecami kolegi, niegrypsuj jak tchórz. Grypsuj z podniesioną głową. J a Ciebie bardzo szanuję, lubię jak grypsujesz, bo podobno jesteś dzięki temu bardziej szanowany. Ale teraz mi przeszkadzasz". Tylko pamiętaj, zawsze wybierz tego najgorszego.

Jemu pierwszemu udzielił Komunii Świętej, pozwól aby on podawał opłatek innym więźniom. Pomimo tego, że są to przestępcy, są to ludzie, którzy mają swoją godność. Uszanuj to. Nie rób tego, co robią służby więzienne. Nie poniżaj tych ludzi, nie zadawaj im niepotrzebnych pytań. Staraj się ich słuchać, bo Oni tego potrzebują.

Moja rada okazała się skuteczna. Gdy spotkaliśmy się po jakimś czasie ksiądz Kazimierz, pełen entuzjazmu, opowiedział mi przebieg mszy w więzieniu.

- Zwróciłem się do najbardziej przeszkadzającego, żeby mi pomógł zaprowadzić porządek, ponieważ nie potrafię sobie poradzić.

„Chciałbym tak jak Ty grypsować, tylko że j a jak o kapłan nie mogę robić tego w taki sposób jak Ty. Chciałbym móc robić to jak o kapłan, na swój sposób. Nie chciałbym Tobie przeszkadzać, ale i Ty nie przeszkadzaj mnie. Pomóż mi w tym. Ty grypsujesz, jesteś człowiekiem honorowym, masz obowiązek pomagać swoim kolegom".

Oddając szacunek tym ludziom ksiądz Orzechowski stał się ich największym przyjacielem. Nie musiał j u ż więcej nikogo uciszać, prosić o pomoc. Doprowadził do tego, że to oni czekali na Niego, z niecierpliwością oczekiwali następnej mszy. Wystarczyło, że uszanował ich odmienność, pozwolił im być ludźmi, a nie

tylko więźniami zamkniętymi w klatkach cel. W tym tkwi wielkość i mądrość tego człowieka.

Od momentu, kiedy po raz ostatni opuściłem mury więzienne mija dziesięć lat. Przez te lata bardzo wiele zmieniło się w moim życiu. Założyłem szczęśliwą rodzinę, jestem przykładnym mężem i ojcem. Dzięki pomocy wielu wspaniałych ludzi powróciłem do wiary. Założyłem firmę, prowadzę legalne interesy. Ale moja przeszłość kryminalna nie daje spokoju niektórym ludziom.

Pada na mnie podejrzenie udziału w wymuszeniu od znanego biznesmena pięciuset tysięcy dolarów. Prokurator Jerzy Mierzewski, mój „dobry znajomy”, decyduje o moim tymczasowym aresztowaniu. Ten zakompleksiony człowiek, bez sukcesów w dotychczasowej karierze prokuratorskiej, dostrzega szansę na jakiś spektakularny sukces, odniesiony moim kosztem. Nawet nie zadał sobie wystarczająco wiele trudu, żeby dokładnie sprawdzić zasadność stawianych mi zarzutów, ale z góry przesądził o mojej winie. A według faktów ja jestem niewinny. Może tym razem opowiem całą historię nie z krzesła w pokoju przesłuchań w prokuraturze, czy z pokoju widzeń w areszcie na ulicy Rakowieckiej w Warszawie, ale na łamach tej książki. Znany warszawski biznesmen, nazwijmy go Nowak, założył ze współnikiem firmę, która doskonale prosperowała i przynosiła duże zyski. Szybko zaczęli zarabiać duże pieniądze. Wszystko szło po myśli współników aż do momentu, kiedy się pokłócili i postanowili się rozstać. Ale nie mogli dojść do porozumienia w sprawie podziału majątku spółki. Nowakowi podział, jak i zaproponował jego współnik, wydał się niesprawiedliwy. Ponieważ czuł się oszukany, zwrócił się do sądu o pomoc. Chodziło nie tylko o podział majątku firmy, ale o fałszowanie dokumentów i inne nadużycia, jak i c h dopuścił się współnik Nowaka. Opieszałość sądu w rozstrzyganiu takich spraw spowodowała, że po kilku latach

czekania na sądowe rozstrzygnięcie sprawy, Nowak postanowił szukać pomocy w prywatnej firmie, zajmującej się negocjowaniem roszczeń. I w ten sposób trafił do firmy, której ja jestem współwłaścicielem. Jest to firma działająca legalnie, zarejestrowana w sądzie jak o spółka akcyjna, ze wszystkimi niezbędnymi pozwoleniami na prowadzenie działalności. Nowak złożył w mojej firmie odpowiednie dokumenty sądowe, potwierdzające J e g o prawo do połowy majątku swojej firmy. Przyjęliśmy zlecenie i uruchomiliśmy odpowiednią do takich przypadków procedurę postępowania. Ponieważ wspólnik Nowaka nie odpowiadał na nasze pisemne prośby o podjęcie negocjacji, postanowiłem osobiście, jak o przedstawiciel mojej firmy i jednocześnie oficjalny reprezentant Nowaka w negocjacjach ze wspólnikiem, spotkać się z opornym klientem. Jadę do człowieka do domu do Anina, dzwonię do drzwi, facet wychodzi na podwórko i zaczynamy rozmawiać.

- Przepraszam, chciałbym z Panem porozmawiać na temat Pańskiej firmy. Wynajął mnie Pański wspólnik Nowak do negocjacji w sprawie odzyskania należnej mu części majątku Waszej spółki.

- Proszę bardzo, zapraszam pana do domu, możemy na ten temat porozmawiać.

- Nie, wie Pan, ja szanuję Pana i Pańską prywatność, to są interesy i może omówilibyśmy je poza domem. Z całym szacunkiem dla Pana, chciałbym omówić te sprawy bądź w moim biurze, bądź gdzieś na terenie neutralnym.

Umawiamy się na spotkanie następnego dnia w „Zajeździe Napoleon”.

Ale dżentelmen na spotkanie nie przyjeżdża, więc jadę do Niego do firmy, proszę sekretarkę, żeby zadzwoniła do szefa i przekazała mi słuchawkę.

- Co ty, misiu - mówię do Niego - umawiasz się ze mną i nie przyjeżdżasz! Jak ty mnie traktujesz?

- Och przepraszam, jestem troszeczkę zaganiany - zaczyna się tłumaczyć. Jestem teraz w hotelu „Holiday” w restauracji, może byśmy tam się spotkali?

- Dobrze, będę za pół godziny.

Przyjeżdżam, facet tym razem przychodzi na spotkanie i zaczynamy rozmawiać:

- Słuchaj, czy znasz swojego wspólnika, Pana Nowaka? To są wszystkie papiery które mówią, że moja firma ma się zająć sprawą. A to jest dokument który mówi, że ja mam prawo w J e g o imieniu negocjować z tobą udziały, które się J e m u należą.

A to jest zlecenie mojego prezesa, że ja reprezentuję taką to a taką firmę. Czy teraz chcesz rozmawiać o zwrocie należnych Nowakowi pieniędzy?

Facet zgadza się oddać pieniądze, po czym idzie na policję i zgłasza próbę wymuszenia haraczu w wysokości pół miliona dolarów. Twierdzi, że grozę j e m u i j e g o rodzinie i chcę go okraść. Bez próby uzyskania wyjaśnień z mojej strony mój dobry „znajomy” prokurator Mierzewski wydaje polecenie aresztowania mnie i osadzenia w areszcie na ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Nikt nie bierze pod uwagę stosownych dokumentów, jakimi dysponuje moja firma. Nie są brane pod uwagę zeznania Nowaka. Dla prokuratury ważne jest jedynie to, że nazywam się „Słowik”.



**KŁAMSTWO MA KRÓTKIE NOGI**

Na rok trafiam do aresztu, a już po dwóch miesiącach ulegam wypadkowi. Prowadzą mnie na spacer. Idę swoim krokiem, nigdzie się nie spieszę. Dowódca zmiany pogania mnie, żebym szedł szybciej. W końcu kopnął mnie tak mocno, że spadłem ze schodów.

Upadłem tak niefortunnie, że nie mogłem się już podnieść. „Klawisze” wzięli mnie na nosze i zanieśli do szpitala więziennego.

Nie mogłem się ruszać, od pasa w dół byłem sparaliżowany. Przez kilka miesięcy nie bada mnie lekarz specjalista, który mógłby stwierdzić, na ile poważny jest mój stan. Służby więzienne podejrzewają mnie, że symuluję chorobę. W celi, w której przebywam, zainstalowana jest kamera, która całą dobę obserwuje moje zachowanie. W końcu, po kilku miesiącach leżenia w łóżku i robienia w pampersy, zostaje dopuszczony do mnie lekarz specjalista, który stwierdza, że mój stan jest tak groźny, że grozi mi dożywotni paraliż. Należy jak najszybciej przeprowadzić operację, która może przywrócić mi władzę w nogach. Tylko szpital „wolnościowy” jest przygotowany do przeprowadzenia takiego zabiegu. Tymczasowe aresztowanie nie zostaje mi uchylone i jak o więzień, pod eskortą policji, zostaję przewieziony do szpitala MSWiA przy ulicy Wołoskiej w Warszawie.

Po dokładnym badaniu przy pomocy tomografii komputerowej lekarze podejmują decyzję o natychmiastowej operacji.

Ich zdaniem jestona o pół roku spóźniona. Operacja trwa kilka godzin. Usunięto mi dwa dyski, na poziomie L4 i L5. Operacja udała się, a l e j a nadal nie mogę chodzić, nie trzymam moczu.

Leżę na OIOM-ie. Cały oddział jest obstawiony przez funkcjonariuszy specjalnej jednostki antyterrorystycznej, tak zwanych „czarnych”. W pełnym uzbrojeniu, z odbezpieczonymi karabinami, czuwają przy moim łóżku. Na sali obok leży żona profesora Religi, w następnym dziecko senatora Romaszewskiego.



Wszyscy odwiedzający bliskich, będących w bardzo ciężkim stanie, mają problemy z dostaniem się na oddział.

Jest wigilia Bożego Narodzenia, jestem kilka godzin po operacji, mój stan jest ciężki. Przychodzi do mnie kapelan szpitalny, ksiądz jezuita, i chce mi udzielić komunii świętej. „Czarni” nie chcą Go do mnie dopuścić. Stoją tuż przy łóżku z odbezpieczonymi karabinami i nie pozwalają księdzu zbliżyć się do mnie. A ksiądz zwraca się do nich w te słowa: "Słuchajcie, wy macie swoje prawa, a ja mam obowiązek udzielić komunii świętej człowiekowi, który tego ode mnie żąda. J e ż e l i chcecie mnie powstrzymać, to mnie aresztujcie. Ja muszę spełnić swoją powinność wobec wiernego". Podeszedł do mnie i bez słowa udzielił mi komunii.

Następnego dnia powrócił do mnie i zaczął mnie wypytywać o moją sytuację.

- Co ty, człowieku zrobiłeś, że w taki szczególny sposób jesteś pilnowany? Jeszcze nigdy nie widziałem tu tylu policjantów i to poprzebieranych w takie dziwne stroje, z karabinami w rękach.

- Nie zrobiłem, proszę księdza, nic złego. Nikogo nie zabiłem, nikogo nie zgwałciłem. Jak normalny człowiek prowadziłem firmę i na skutek nieporozumienia zostałem oskarżony. Ja nawet nie jestem skazany, jestem tylko tymczasowo aresztowany.

- To niemożliwe, synu.

- Skoro ksiądz twierdzi, że to niemożliwe, to może ksiądz jest z UOP? Niech ksiądz o nic więcej mnie nie pyta. Ja nie będę księdzu niczego opowiadał, ja się po prostu wyświadam.

Wtedy ksiądz będzie musiał mi uwierzyć.

Wyświadałem się wtedy temu jezuitcie, wyznałem mu swoje grzechy, opowiedziałem całą prawdę o mnie. Zadał mi tylko jedno pytanie - czy żałuję za swoje grzechy? Odpowiedziałem, że tak. Obiecał przyjść następnego dnia.

Następnego dnia ksiądz przyniósł mi książkę. Przeczytałem

ją przez jedną noc. Książka ta opisywała przypadek mordercy, którego Kościół po wielu latach postanowił beatyfikować. Człowiek ten, pomimo zbrodni, której dokonał i nieuchronności kary, został rozgrzeszony i wzniesiony na piedestał wiary. Żałował swojego czynu i do końca swoich dni wierzył w zrozumienie i przebaczenie.

Ja też nie powinienem rezygnować, poddawać się nie będąc mordercą. Powinienem wierzyć w zrozumienie i sprawiedliwość i do końca walczyć o prawdę. Moje przewinienia są nieporównywalne ze zbrodnią tamtego człowieka, ale to, co powinno nas łączyć, to nadzieja i wiara. Miałem uwierzyć w siebie i walczyć o sprawiedliwość.

Wspomniany wcześniej prokurator Mierzewski, pomimo sprzeciwów specjalistów szpitalnych, upiera się przy przewiezieniu mnie do szpitala więziennego. W tydzień po operacji przysyła sądową komisję lekarską. Komisja lekarska, w skład której wchodzi lekarz internista, ginekolog i chirurg plastyczny, każą mi klęczeć na krześle i palcami u rąk dotykać podłogi. Dopiero interwencja ordynatora oddziału uratowała mnie od paraliżu, który groził mi po takim „badaniu”. Po miesiącu wracam do szpitala więziennego. Nadal nie chodzę, robię pod siebie. Dziewięć miesięcy od wypadku sędzia prowadząca sprawę podejmuje decyzję o uchyleniu aresztu, gdyż mój stan zdrowia oraz przebieg śledztwa nie pozwalają na dalsze przetrzymywanie mnie w areszcie.

Kolejni ludzie oskarżani w tak zwanej aferze pruszkowskiej trafiają do aresztu. Wszystkie oskarżenia opierają się na domniemaniach, prokurator nie jest w stanie przedstawić tym ludziom żadnych konkretnych zarzutów. Wszelkimi sposobami próbuje się znaleźć dowody ich przestępczej działalności. Trudno jest niektórym ludziom pogodzić się z faktem, że byli

przestępcy prowadzą dzisiaj życie uczciwych, spokojnych obywateli.

Ludzie ci prowadzą legalne interesy, płacą podatki, dzięki swojej przedsiębiorczości bogacą się. Po latach błądzenia potrafili znaleźć swoje miejsce w społeczeństwie. Zakładają rodziny, zgodnie wychowują dzieci. Są to ludzie, którzy za swoje błędy często zapłacili bardzo wysoką cenę. Swoje grzechy odkupili wieloletnimi wyrokami, latami izolacji w bardzo ciężkich warunkach utraty wolności i poniżenia. Nie mogą całe życie odpowiadać za raz popełnione przewinienia.

Ale są ludzie, dla których ich szczęście i dobrobyt są solą w oku. Mógłbym wskazać przynajmniej kilku tak zwanych stróżów prawa, chorobliwie ambitnych prokuratorów, którzy za punkt honoru stawiają sobie pozbawienie wolności takiego czy innego człowieka tylko dlatego, że kiedyś był przestępcą, a dzisiaj żyje w luksusie, jeździ dobrym samochodem, wakacje spędza za granicą, dzieci posyła do najlepszych szkół. Człowiekowi, który przesiąknięty jest ideałami wyczytanymi w prawniczych książkach, który gnieździ się z rodziną w małym mieszkanku w komunalnym bloku, żyje od wypłaty do wypłaty, a jednocześnie na co dzień obcuje z bogactwem innych ludzi, trudno j e s t pogodzić się z faktem, że wczorajsi przestępcy dzisiaj cieszą się szczęściem i dobrobytem. Dla takich ludzi przestępca musi być potępiony na wieki. I nie jest to nawet kwestia przebaczenia, ale zrozumienia faktu, że za odkupione winy nie można odpowiadać przez całe życie.

I nagle tym ludziom wpada w ręce „Masa”, gwałciciel i morderca, który oczerniając innych chce uniknąć odpowiedzialności za swoje przestępstwa. On, wielokrotny gwałciciel, morderca i sadysta, wieloletni narkoman, nigdy nie został przez środowisko przestępcze zaakceptowany. Przestępczy kodeks honorowy w najwyższym stopniu potępia gwałcicieli, na równi z pedofilami czy konfidentami.

„Masa” nigdy nie mógł być tolerowany przez środowisko przestępcze. Dopóki zajmował się kradzieżami czy rozbojami był pospolitym kryminalistą, ale w momencie, kiedy ujawnił się ze swoimi dewiacjami seksualnymi, został przez środowisko przestępcze potępiony i wyrzucony poza je g o margines. Wydawało mu się, że mordując swojego najlepszego przyjaciela „Kiełbasę” zajmie jego pozycję, przejmie Jego interesy i stanie się osobą szanowaną. Taka zbrodnia nie mogła być w środowisku przestępczym przebaczona.

„Masa” zamordował człowieka, który był j e g o przyjacielem, któremu zawdzięczał wszystko, co w życiu osiągnął. Gdyby nie „Kiełbasa”, „Masa” prawdopodobnie byłby do dzisiaj drobnym złodziejaszkiem, większość życia spędzającym w więzieniu, gdyż jego prymitywizm i prostota nie pozwoliłyby mu zostać dobrym złodziejem. Jego miejsce było pośród takich jak on kryminalistów', okradających biednych, bezbronnych ludzi tylko po to, aby zrabowane pieniądze zaraz przepić i przewąchać. Dziesięć lat temu Pruszków był jedną z wielu niczym nie wyróżniających się podwarszawskich miejscowości. Nikt w Polsce nie mówił wtedy o mafii czy zorganizowanej przestępczości. Po przemianach ustrojowych, które w tym czasie nastąpiły i otwarciu granic przyszła moda na „zachód”, wszystko co kojarzyło się z „zachodem” i wolnym rynkiem było modne, ciekawe, lepsze. To wtedy media zaczęły używać słowa mafia dla jakichkolwiek działań przestępczych. Pomimo, że mało kto rozumiał znaczenie tego określenia, używali go wszyscy. Dziennikarzom mafia była potrzebna, żeby wiadomościom nadać posmak sensacji i lepiej je sprzedać; policji, żeby uzyskać dodatkowe fundusze na walkę ze zorganizowaną przestępczością.

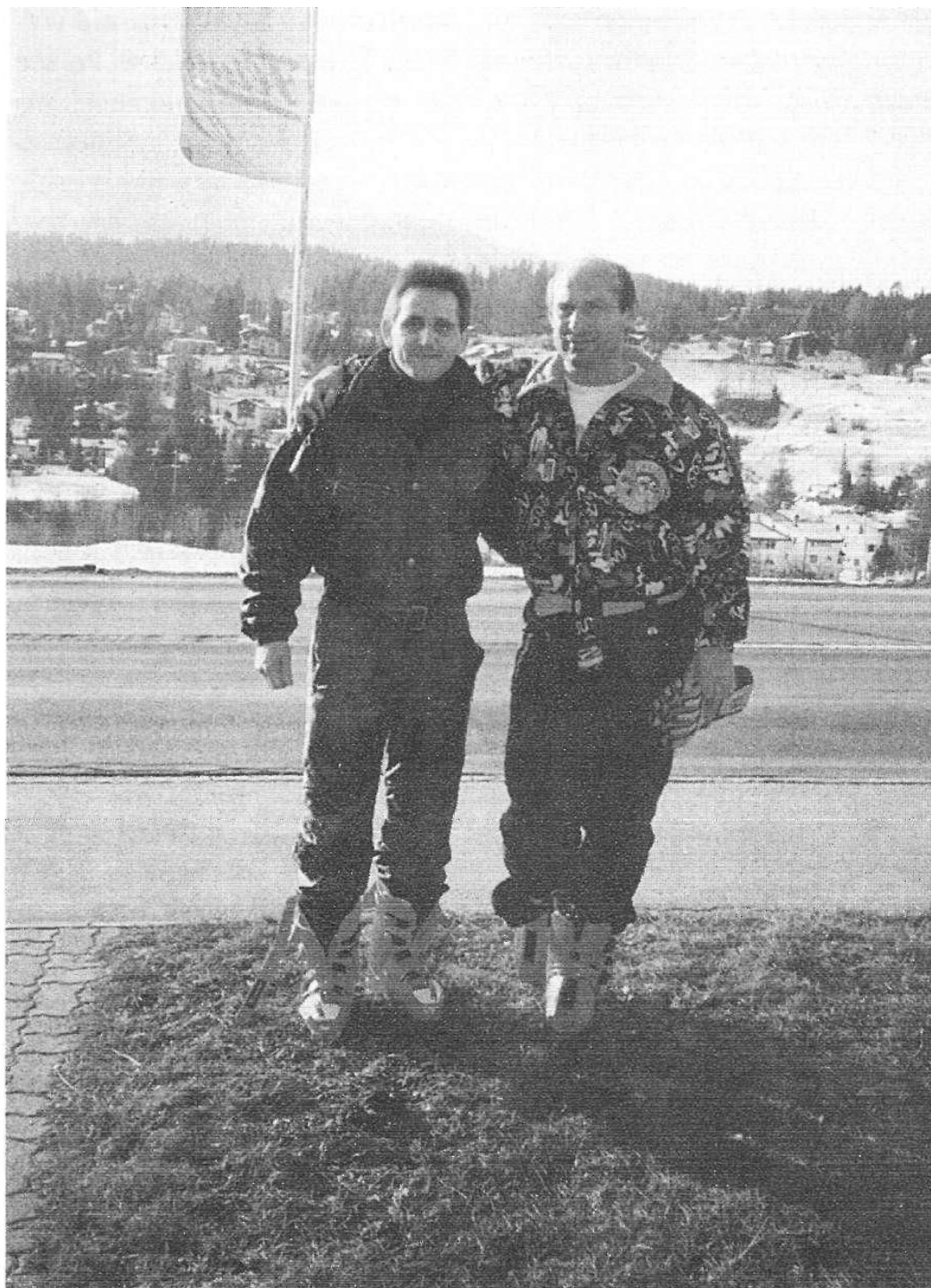
Przeciętny telewidz i czytelnik gazet uwierzył w istnienie mafii. Ludzie zaczęli się bać. Wykreowano mafie pruszkowską, później wołomińską. Pisano o wojnie między tymi mafiami, podkładaniu bomb, morderstwach na zlecenie. Straszono ludzi zwyrodnialcami

wyrzucającymi przez okna niemowlęta, robieniu wiertarką dziur w kolanach torturowanych ofiar. A tak naprawdę w Polsce mafii nigdy nie było i nie ma. Żeby można było mówić o mafii, musielibyśmy mieć do czynienia z organizacją o ustalonej hierarchii, posiadającą możliwość wpływania na rządzenie państwem poprzez przekupionych polityków, zarządzającą bankami, wpływającą na media, obracającą olbrzymimi pieniędzmi, mającej koneksje międzynarodowe. W Polsce możemy jedynie mówić o przestępcach, którzy się znają i którzy się wzajemnie respektują. Jeżeli dwóch złodziei przekupuje na granicy celnika i przemyca TIR - a z alkoholem, to prasa nazywa to kolejnym działaniem mafii. Jeżeli kilku złodziei okrada hurtownię papierosów, to zdaniem policji zrobiła to mafia, która ma wpływy na danym terenie. Mafią nazywa się kilku młodych, ostrzyżonych na łyso osiłeków, którzy na swoim osiedlu wymuszają okup od właścicieli sklepów czy restauracji.

To dziennikarze i policjanci wykreowali „Masę”, „Pershinga” czy „Słowika” na przywódców tak zwanej mafii. To tylko w ich wyobrażeniach i na ich użytek ludzie ci kierują organizacjami przestępczymi.

Jeszcze raz przenieśmy się do początku lat dziewięćdziesiątych. Nikt nie nazywał wtedy Pruszkowa stolicą polskiej mafii i nikt nie słyszał jeszcze o „Kiełbasie”, zwanym tak od nazwiska Kiełbiński. Był to młody, ambitny chłopak, pełen fantazji i ciekawych pomysłów, dla którego rodzinny Pruszków nie był wymarzoną miejscem do spędzenia reszty życia. „Kiełbasę” ciągnęło do wielkiego świata, chciał poznać inne, ciekawe życie. Zaczął pojawiać się w Warszawie. Na dyskotekach poznawał różnych ludzi ze światka przestępczego stolicy. Dzięki swojemu urokowi osobistemu i wrodzonej inteligencji został szybko

przez nich zaakceptowany i dopuszczony do interesów. Zaczął zarabiać duże, jak na ówczesne czasy, pieniądze.



Andrzej z „Pershingiem”

I wtedy przy j e g o boku pojawia się „Masa”. Swojej dużej postaci i głupocie zawdzięcza swój pseudonim. Początkowo jest ochroniarzem „Kiełbasy”, a z czasem zostaje J e g o przyjacielem. „Kiełbasa” pokazuje mu Warszawę, zabiera do dyskoteki, przy „Kiełbasie” po raz pierwszy widzi dolara, poznaje pierwszą dziewczynę, wyjeżdża za granicę. Ten prymityw, który nie potrafił zdobyć zawodu hydraulika, widzi inny świat, poznaje ludzi, którzy stanowią awangardę ówczesnego świata przestępczego.

Był wielki i głupi, ale miał dużo szczęścia. Któregoś dnia zatelefonował do mnie z propozycją spotkania i omówienia konkretnej roboty. Umówiliśmy się w hotelu Wera w Warszawie na tak zwane śniadanie wiedeńskie. O ile dobrze pamiętam, mieliśmy się spotkać w południe, bo jak wiadomo, przed godziną jedenastą ani nikogo się nie okrada, ani nie załatwia interesów.

Spotykamy się na śniadaniu, jemy jajka po wiedeńsku, pijemy kawę i rozmawiamy o interesach. I wtedy z j e g o strony pada propozycja konkretnej pracy. „Masa” informuje mnie, że ma do wykonania pewne zlecenie. „Robota” ta polegała na tym, że należało napaść na faceta i zabrać mu pakunek, który miał ważyć ponad dwadzieścia kilogramów. „Masa” miał obezwładnić faceta, przydusić go, a moim zadaniem miało być chwycić ważącą około dwudziestu kilogramów paczkę i jak najszybciej uciec z nią z miejsca napadu.

Był jeden warunek. Napadu należało dokonać dokładnie w taki sposób, jak tego życzył sobie zleceniodawca. Faceta nie można było zastrzelić czy postraszyć pistoletem, zranić nożem czy ciężko pobić. Należało obezwładnić go w taki sposób, żeby nie stała mu się żadna większa krzywda i możliwie jak najszybciej odebrać mu przesyłkę.

„Masa” jak o człowiek niezwykle silny doskonale nadawał się do tej roboty. Był ogromnym facetem o niespotykanej sile, tak

więc przyduszenie faceta, nawet gdyby nie był ułomkiem, nie stanowiłoby dla niego żadnego problemu. Ja natomiast w owym czasie uchodziłem w środowisku za najszybszego złodzieja. Byłem młody, wysportowany, systematycznie ćwiczyłem na siłowni. Ważyłem niewiele ponad siedemdziesiąt kilogramów, a wyciskałem sztangę ważącą sto sześćdziesiąt kilogramów. Nikt nie był w stanie złapać mnie w razie ucieczki z miejsca kradzieży. Po tym, co usłyszałem od „Masy” pomyślałem sobie, że nie ma prostszej roboty na świecie. Potrzebowałem pieniędzy i byłem zdecydowany zrobić ten „skok” z „Masą”.

Umówiliśmy się na następny dzień na oględziny miejsca napadu. Pamiętam, że było to na Dolnym Mokotowie, na którymś z podwórek przy ulicy Stępińskiej. Trudno mi dzisiaj dokładnie określić to miejsce. „Masa” ze szczegółami opowiada mi, w jakich okolicznościach mamy dokonać napadu. Facet przyjedzie taksówką, przejdzie na ukos przez podwórko, minie śmietnik i zniknie w jednej z klatek schodowych. W rękę będzie niósł dużą paczkę owiniętą w szary papier pakowy i obwiązaną sznurkiem, taką jakiej najczęściej nadaje się na pocztę. Paczka ma ważyć około dwudziestu kilogramów, a w środku ma być milion dolarów amerykańskich. Faceta zaatakujemy koło śmietnika. „Masa” go obezwładni, a ja z paczką ucieknę do zaparkowanego w pobliżu samochodu. Gdy usłyszałem, jak ą ilość pieniędzy mamy ukraść, na chwilę mnie zatkało. Jeszcze w życiu nie widziałem takiej sumy. Taka kupa forsy, niesiona w zwykłej paczce przez faceta bez żadnej obstawy? Wydawało mi się to dziwne, a nawet podejrzane. Zaczynam naciskać „Masę”, żeby powiedział mi, co to są za pieniądze.

Straszę, że wycofam się ze spółki. I wtedy „Masa” mówi mi prawdę: - Dobrze, powiem ci to, co ja wiem. Tylko obiecaj mi, że nigdy w życiu nie powiesz o tym wszystkim „Kielbasie”. On nie może się o niczym dowiedzieć. Raz w miesiącu specjalny kurier



transportuje te pieniądze pociągiem z Rosji. Na Dworcu Centralnym wsiada w taksówkę, jedzie na Mokotów na ulicę Stępińską, i po wyjściu z taksówki przebywa drogę, którą ci przed chwilą pokazałem.

Są to pieniądze przeznaczone dla polskich szpiegów (?), pracujących dla KGB. Robią tak od lat i jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś ich okradł.



Andrzej z „Pershingiem”

Wróciłem do domu. Cały czas dręczyła mnie myśl, o co w tym wszystkim chodzi? J e z u , co ja robię, przecież u nich nie ma „pomiłuj”, nie ma przebaczenia. A to jest równoznaczne z karą śmierci. Taka duża suma i to w dodatku ukradziona służbom specjalnym byłego Związku Radzieckiego. O nie, na pewno w to nie wchodzę!

Nie mogłem spać przez dwie noce. Autentycznie przestraszyłem się. Zacząłem szukać wymówki, żeby wycofać się ze sprawy. Po raz pierwszy otrzymałem wizę amerykańską. Wymówiłem się wyjazdem do Stanów Zjednoczonych i faktycznie wyjechałem. Gdy po kilku miesiącach wróciłem ze Stanów, skontaktował się ze mną mój przyjaciel, świętej pamięci Zbyszek „Kajtuś” z Lublina. Mówi do mnie:

- Słuchaj, magister, jakieś „ruskie” się tu kręcą, dotarli do mnie i jest okazja zarobić.

- No problem, dawaj ich tu na dywanik, to pogadamy.

Spotkanie się odbyło. „Ruskie” informują mnie, że kilka miesięcy temu na ich człowieka napadli jacyś nieznani ludzie i zrabowali mu dużą sumę pieniędzy.

- No dobrze, ale jak dużą sumę pieniędzy? - pytam z zaciekawieniem.

- Ponad dwanaście milionów dolarów - pada odpowiedź.

Następuje dłuższa chwila milczenia. Jestem zaskoczony. Nie wiem, co powiedzieć. Czy mam w to uwierzyć? Czy jest to fakt autentyczny?

A może to tylko jakaś „podpucha”? Ponad dwanaście milionów dolarów - te myśli nie dają mi spokoju. Zaczynają mi opowiadać, w jak i sposób pieniądze mogły być zrabowane. Jechał człowiek taksówką, wysiadł na Dolnym Mokotowie, szedł do domu, ktoś go napadł, zabrał mu pieniądze. Natychmiast uświadomiłem sobie, że to jest ta sama robota, którą proponował mi „Masa”. Tylko że wtedy on mówił mi o milionie dolarów. A to

było dwanaście milionów! W tym momencie wiedziałem już, że „Masa” zrobił ten skok bez mojej pomocy. Chcieli, żebym przeprowadził swoje prywatne śledztwo i ustalił, czy napadu tego dokonali polscy przestępcy, czego oni tak bardzo się nie obawiają, czy może zrobił to kontrwywiad polski lub jeszcze innego kraju. Poprosiłem o tydzień do namysłu. Jeszcze wtedy nie wiedziałem dokładnie, z kim mam do czynienia. Gdy po tygodniu spotkaliśmy się ponownie, byli już bardziej rozmowni. Według ich rozeznania ja najlepiej znam polskie środowisko przestępcze i ja najlepiej będę nadawał się do wyjaśnienia tej sprawy. Przedstawili się jako wysłannicy służb specjalnych byłego Związku Radzieckiego i zaproponowali mi konkretne pieniądze za współpracę. Wtedy zrozumiałem powagę sytuacji. Służby specjalne obcego państwa proponują mi współpracę. To nie był przypadek, że zwrócili się z tą propozycją akurat do mnie. Traktowali mnie bardzo poważnie. Dużo wcześniej musieli „prześwietlić” cały mój życiorys i uznali mnie za osobę na tyle odpowiedzialną, że można mi powierzyć taką tajemnicę. Wiedziałem, że mam do czynienia z fachowcami najwyższej klasy. Gdyby nie to, że moi zleceniodawcy oficjalnie przedstawili się, w życiu nie domyśliłbym się, z kim mam do czynienia. Mówili doskonałą polszczyzną, bez cienia rosyjskiego akcentu. W czasie wielokrotnych spotkań, w zależności od sytuacji, raz rozmawiali ze mną jak doskonale wykształceni ludzie, innym razem jak moi koledzy z podwórka czy ludzie, którzy kilka lat spędzili w więzieniu. Niezwykle elastyczni i kompetentni. Podjąłem współpracę. Od początku znałem odpowiedź na stawiane przez nich pytania. Moim celem stało się chronienie „Masy”. Mogłem przynajmniej częściowo być na bieżąco w przebiegu śledztwa, a przynajmniej w miarę możliwości kierować je na fałszywe tropy, aby przynajmniej w ten sposób pomóc „Masie”. Do tej pory był wobec mnie lojalny, a mój kodeks honorowy i poczucie

uczciwości nakazywały pomóc koledze. Ujawnienie go jak o sprawcy napadu to podpisanie na niego wyroku śmierci. Ale na siebie również. Nie mógłby żyć człowiek, który wiedział, kto zabił „Masę” i dlaczego. Oni nigdy nie pozostawiają po sobie żadnych śladów.

Po latach dowiedziałem się, jak potraktowali człowieka, który niósł wtedy paczkę. Podejrzewano go o współudział w napadzie i torturami próbowano zmusić go do mówienia. Dopiero gdy ucięto mu dłoń, a on dalej nie przyznawał się do winy uznano, że nawet kilka milionów dolarów nie jest warte takiej ceny. Tylko to uratowało mu życie. Na „pamiątkę” tego zdarzenia otrzymał przydomek

„Łapka”. Jedyńą jego winą w całej tej sprawie było to, że wykonywał taką, a nie inną pracę.

Zasady współpracy, które mi zaproponowano, były proste. Co jakiś czas będę składał relację z przebiegu mojego śledztwa, a w przypadku wykrycia sprawców otrzymam sowitą zapłatę w dolarach amerykańskich. Na poczet bieżących kosztów zażądałem jednak zaliczki w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów.

Pieniądze te to nie był mój zarobek, miały jedynie zrekompensować mi koszty związane z prowadzeniem śledztwa, wyjazdami do innych miast, noclegami w hotelach, pójściem z kimś na obiad czy kolację w eleganckiej restauracji, czy stratą mojego własnego czasu. O konkretnej kwocie w przypadku wykrycia sprawców nie chciałem jeszcze rozmawiać, ustaliliśmy jedynie, że otrzymana zaliczka ma pokryć moje koszty związane ze śledztwem i nawet w przypadku niepowodzenia mojego dochodzenia pieniądze te nigdy nie będą zleceniodawcy zwrócone. Miałem nadzieję, że takie postawienie sprawy zapewni mi bezpieczeństwo w przypadku wycofania się po czasie ze sprawy. Zleceniodawcy przystali na moje warunki i bez słowa wypłacili żadaną kwotę.

Po latach miałem się przekonać, w jak i sposób „Masa” potrafił

odwdzięczyć mi się za udzieloną mu wtedy pomoc i w jak i sposób chciał wykorzystać zdobyte takim sposobem ogromne pieniądze.

Dzisiaj „Masa” publicznie deklaruje chęć zostania biznesmenem i porządnym obywatelem. Twierdzi, że zrywa ze światem przestępczym, wręcz się go brzydzi. Zostaje światkiem koronnym po to, żeby państwo zapewniło mu bezpieczeństwo, a zrabowane KGB pieniądze zapewnią mu luksusy. To państwo odpuszcza mu jego zbrodnie, gwałty, kradzieże. Mało tego, daje mu „błogosławieństwo” na dalszą drogę, j u ż jak o porządnego obywatela i biznesmena.

Może dzisiaj powinniśmy w ten sposób wychowywać młodych ludzi; bądźcie mordercami i gwałcicielami, później zostańcie światkami koronnymi, a wszystkie wasze przestępstwa zostaną wam odpuszczone, mało tego, państwo zapewni wam bezpieczeństwo i dostatnie życie.

Po kilku miesiącach postanowiłem wycofać się ze „współpracy” z tajnymi służbami wywiadowczymi byłego Związku Radzieckiego. Próbowałem ich przekonać, że to na pewno nikt ze środowiska przestępczego nie dokonał tego napadu. Przez tyle miesięcy na pewno ktoś by coś powiedział przy wódce, w gogo, w burdelach w barach, pochwaliby się skokiem „stulecia”, padałyby jakieś kwoty, byłby wokół sprawy jakiś szum. A tu panowała całkowita cisza.

Jestem pewien, że gdyby zrobili to polscy złodzieje, coś bym o tym wiedział. Tak więc szkoda Waszego czasu i pieniędzy, ja nie jestem w stanie Wam pomóc. I tak zakończyła się nasza „współpraca”.

Nie mogłem podjąć innej decyzji, jak wyżej wspomniana, gdyż świadomy byłem tego, że wskazanie sprawcy tego napadu to wydanie wyroku śmierci na j e g o osobę i również na moją, jak o że służby takiej rangi na pewno śladów nie pozostawiają. „Masie” szybko przestaje wystarczać bycie tylko pomocnikiem

„Kiełbasy”. Po początkowym oszołomieniu przychodzi zazdrość, chęć bycia takim, jak on. Ale „Masa” jest zbyt ograniczony aby zrozumieć, że nigdy kimś takim nie zostanie. Stale był kierowany przez „Kiełbasę” i żył w Jego cieniu. Gdy pojawiali się w miejscu publicznym, nikt nie powiedział inaczej, jak - przyszedł „Kiełbasa” z „Masą”. Na wszystkie imprezy rodzinne, organizowane w gronie zaprzyjaźnionych osób, zapraszany był „Kiełbasa” ze swoją rodziną, „Masa” zjawiał się tam tylko z racji tego, że był przyjacielem „Kiełbasy”. „Masa” zawsze pozostawał w cieniu, był dodatkiem do swojego przyjaciela, bez którego był nikim. W pewnym momencie pozostawanie w cieniu przyjaciela przestało mu wystarczać. Postanowił pozbyć się „Kiełbasy” i zająć jego miejsce w światku przestępczym. Zlecił zamordowanie najlepszego przyjaciela!

Ktoś spyta, jak ja jestem pewny, że to „Masa” zlecił dokonanie tego mordu? Ktoś inny spyta, skąd ja mogę o tym wiedzieć, czy mam na to dowody?. Tak, mam takie dowody i mogę udowodnić, że to „Masa” zlecił wykonanie tej egzekucji. Tylko on, najbliższy przyjaciel „Kiełbasy”, dokładnie znał jego miejsce zamieszkania w Pruszkowie, znał jego przyzwyczajenia i rozkład dnia. On wiedział, że codziennie rano „Kiełbasa” wsiadał do swojego samochodu i jechał do pobliskiej piekarni po świeże pieczywo dla swojego synka. On wskazał piekarnię jako najlepsze miejsce do zamordowania „Kiełbasy”. On wynajął morderców i on ich uzbroił. Z premedytacją zaplanował tę zbrodnię i doprowadził do jej realizacji.

„Masie” potrzebne było niepodważalne alibi. I to ja w pewnym sensie mu go dostarczyłem. W tym czasie, kiedy płatni mordercy strzelali do „Kiełbasy”, ja przebywałem w hotelu „Kasprowy” w Zakopanem. Byłem tam wcześniej setki razy. Nie było wśród personelu hotelowego osoby, która by mnie nie знаła i która nie mogłaby poświadczyć, że w owym czasie tam przebywałem.

„Masa” wymyślił sobie, że nie ma dla niego lepszego alibi, jak pokazać się w tym samym czasie w moim towarzystwie. Do dzisiaj pamiętam je go nerwowe telefony, wykonywane co kilkanaście minut i ten moment, kiedy podszedł do mnie i z ulgą w głosie powiedział:

- Słuchaj, muszę się przed tobą pochwalić.

- Dobra, mów o co chodzi.

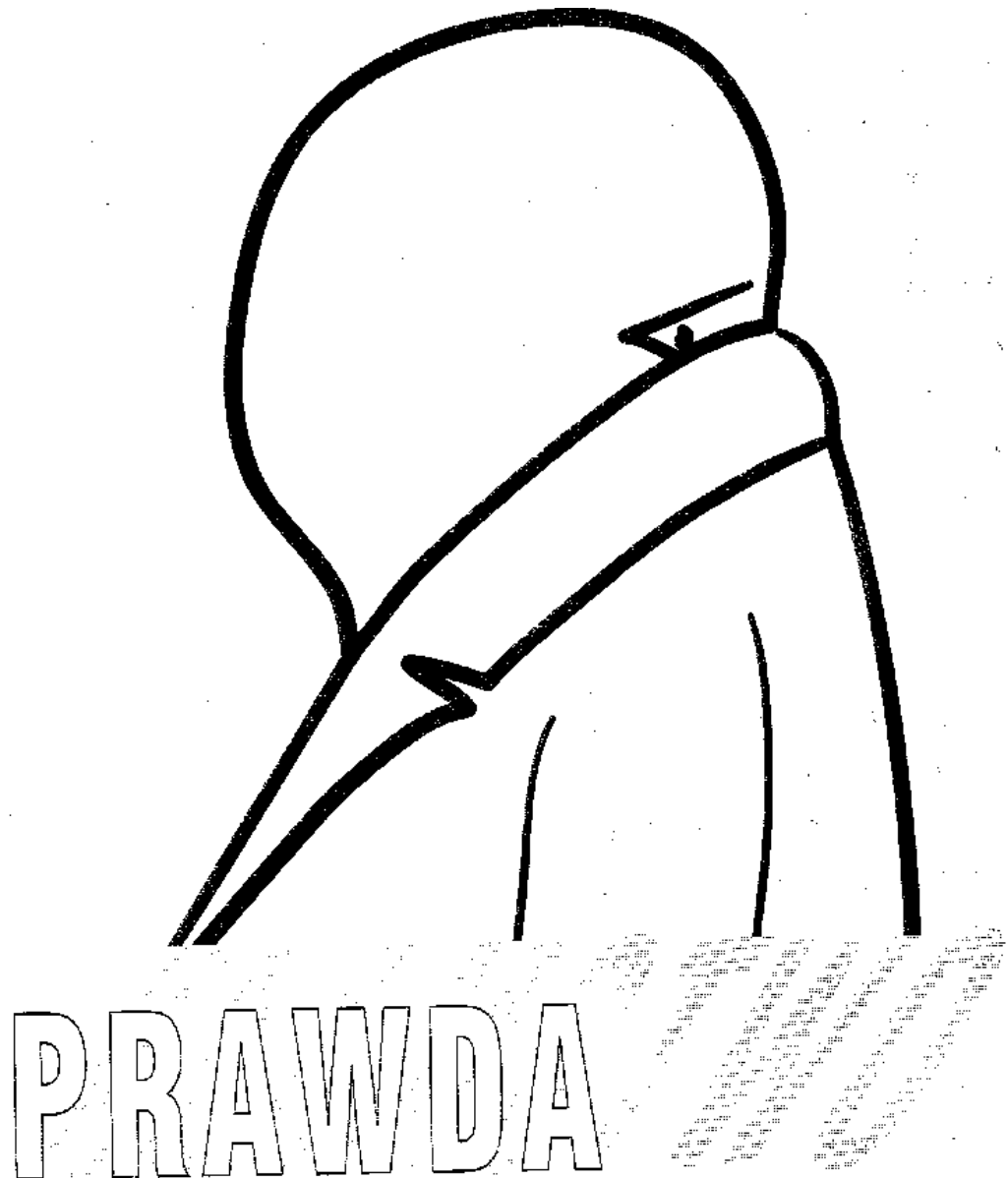
- Już nie ma „Kiełbasy”

- Nie ma, no tu nie ma - mówię

- Zlikwidowałem go. I nigdy nie zgadniesz w jaki sposób. Został zastrzelony z Kałasznikowa przy użyciu nowej, tajnej amunicji, której jeszcze nikt w Polsce nie ma. Są to specjalne pociski plazmowe, które w miejscu wejścia w ciało pozostawiają mały otworek, a przy wylocie wyrwywają połowę ciała ofiary. Ja zastosowałem je po raz pierwszy.

W tym momencie podchodzi dowódca hotelowej ochrony i mówi:

- Panowie, mam dla was przykrą wiadomość. Przepraszam, że jestem pierwszy. Przed chwilą radio podało, że „Kiełbasa” został zastrzelony w Pruszkowie.



Stało się dla mnie jasne , że „Masa” kontrolował przebieg całej akcji i jego pierwszego poinformowano o śmierci swojego przyjaciela.

Po tej okrutnej zbrodni „Masa” nie tylko nie zajmuje miejsca „Kielbasy”, ale zostaje wręcz odrzucony przez środowisko. Nie można zaufać temu człowiekowi j u ż nie tylko dlatego, że Jest prymitywny i pozostawiony bez kontroli popełnia różne głupstwa, ale przede wszystkim dlatego, że jest mordercą, zdrajcą najważniejszych ideałów, jak i m i są bezgraniczne zaufanie i wierność. Zdrada w środowisku przestępczym



postrzegana jest jak o największe przestępstwo, zaprzeczenie najszlachetniejszym ideałom męskiej przyjaźni i zaufania, jak to już wcześniej o tym wspomniałem. Już samo to dyskwalifikowało „Masę” jak o partnera w interesach i powodowało, że został przez każdego odsunięty od jakichkolwiek tajemnic. Po prostu „Masą” zaczęto się już brzydzić.

Zanim doszło do tej strasznej zbrodni, która wstrząsnęła całym środowiskiem przestępczym i opinią publiczną, „Masa” dał się poznać jak o osobnik niezrównoważony psychicznie, ze skłonnościami sadystycznymi, szczególnie w stosunku do kobiet. W kontaktach z kobietami ujawniały się jego kompleksy, związane z nieudanym życiem seksualnym. Ten olbrzymi, ważący kilogramów mężczyzna, nie sprawdzał się w kontaktach z kobietami. Swoje kompleksy i nieudane próby współżycia odreagowywał, bijąc swoje partnerki. Mścił się na nich za swoje niepowodzenia. Czy to ogromne ilości sterydów, które aplikował sobie w czasie treningów kulturystycznych, czy uzależnienie od narkotyków powodowały, że jego i tak minimalny penis prawie nigdy nie stawał. Sam kilkakrotnie byłem świadkiem sytuacji, kiedy „Masa” do nieprzytomności zbił dziewczynę tylko dlatego, że znowu mu nie wyszło. W środowisku dziewczyn z agencji towarzyskich był pośmiewiskiem i jednocześnie siał wśród nich postrach.

Każda z nich wiedziała, że spotkanie z „Masą” może skoczyć się tragicznie.

Czy pamiętacie sprawę morderstwa sprzedawców telefonów komórkowych, którzy pod pozorem zakupu większej ilości telefonów zostali zwabieni w zasadzkę i zamordowani. Małgorzata Rozumecka, sprawczyni tej zbrodni, kilka lat wcześniej była ofiarą „Masy”. Została przez niego w okrutny sposób zgwałcona i pobita, o czym mówi akt oskarżenia przeciwko „Masie”. Po licznych szantażach i przyjęciu od „Masy” pieniędzy, wycofała swoje zeznania.

Dzisiaj odsiada wyrok dożywotniego więzienia, a morderstwo to w sposób pośredni obciąża „Masę”.

# Era do apelacji

**Studentka resocjalizacji, młoda, inteligentna. Według prokuratury i sądu, to ona była mózgiem bandy, wymyśliła napad, zaplanowała zabójstwo. Za zamordowanie dwóch pracowników Ery GSM została skazana na dożywocie. Obrońca chce, by jej sprawa została rozpatrzona jeszcze raz.**

Dzisiaj Sąd Apelacyjny rozstrzygnie, czy zasłużyła na najwyższą karę.

– To była egzekucja, a nie zabójstwo – mówiła sędzia podczas ogłoszenia wyroku.

Wszystko zaplanowała Małgorzata Rozumecka. Kupiła broń, zleciła

pomoże mu sprzedać 30 telefonów komórkowych, które miał rzekomo zamówić Bogusław Linda. Kiedy feralnego dnia Aniołkiewicz razem z kolegą, Pawłem Sulikowskim, pojechali do Komorowa, zostali zastrzeleni. Bandytci zabrali telefony i sprzedali je pod Pałacem Kultury. Dostali za nie ok. 30 tys. zł.

Nie wiadomo do dziś, kto strzelał. Według prokuratora, był to brat oskarżonej, który po tragedii uciekł do Meksyku. Do tej pory go nie zatrzymano. Ostatecznie za zabójstwo odpowiadali tylko Rozumecka i Krystian Majchrowski. Według sądu, jedynie oni wiedzieli, że jadą do Komorowa po to, żeby zabić. Majchrowski, który w dniu zdarzenia miał 17 lat, został skaza-



■ Małgorzata Rozumecka na rozprawie

– Pozostali współnicy nie wiedzieli o wykopanym dole – tłumaczyła sędzia, skazując ich nie za morderstwo, lecz za rozbój.

Marcin Tomczak dostał 12 lat, a taksówkarz Adam Bojanowski, który po zbrodni odebrał sprawców, dostał 6 lat.

Dzisiaj obrońcy oskarżonych będą domagać się w Sądzie Apelacyjnym obniżenia tych kar i zwrócenia

Może ktoś z Was spróbuje dotrzeć do tej kobiety, może biegły psychiatra sądowy spróbuje ustalić, czy morderstwo to nie było następstwem szoku i zmian w psychice tej kobiety, które nastąpiły po wcześniejszych przeżyciach?

Niezliczone były przypadki tuszowania pobić kobiet przez tego zbrodnicę, ofiary były zastraszane a świadkowie przekupywani. Jestem pewien że każdy, nawet niedoświadczony psychiatra stwierdzi u tego zwyrodnialca skłonności sadystyczne, nieodwracalne zmiany w psychice wynikające z jego kompleksów i wieloletniego nadużywania narkotyków.

W początkowym okresie przestępczej kariery „Masa” zajmował się handlem narkotykami. Sprowadzał narkotyki do Polski i poprzez doświadczonych dealerów rozprowadzał je w szkołach

podstawowych i średnich, agencjach towarzyskich, lokalach nocnych, dyskotekach. Oprócz tego był w tym czasie współwłaścicielem największej dyskoteki w Warszawie o nazwie „Planeta” i tam również handlowano j e g o narkotykami. W ubikacjach „Masa” podglądał przez mało widoczne okno w suficie kto bierze narkotyki, i czy są to narkotyki kupione u niego. Miształ, szef firmy ochroniarskiej, która ochraniała dyskotekę, na pewno potwierdzi moje słowa. Ma On w zwyczaju osobiście doglądać strzeżonych przez j e g o firmę obiektów, sam sprawdza ich stan techniczny i sposób zabezpieczenia. „Masa” na terenie swojej dyskoteki bezwzględnie tępił wszelką konkurencję. W tym czasie niejeden konkurent został wywieziony przez niego „do lasu”.

Nieograniczony dostęp do narkotyków spowodował, że sam zaczął ćpać, a po pewnym czasie uzależnił się całkowicie. Z moich źródeł wiem, że w tej chwili UOP regularnie dostarcza mu narkotyki, jego uzależnienie wykorzystuje dla uzyskania takich informacji, jak i e są im potrzebne i wygodne.

Może dziennikarze w swojej dociekliwości powinni spróbować dotrzeć do świadków i ofiar tego zwyrodnialca. Liczcie się z tym, że w tej chwili fakty te są strzeżone przez policję nie gorzej niż sam „Masa”. Może żona generała Papały, zamordowanego w tajemniczych, nie wyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach, zamiast skarżyć się publicznie na opieszałość policji, powinna z pytaniem o sprawców tej zbrodni zwrócić się bezpośrednio do „Masy”? Czy kiedykolwiek uda się rozwiązać tę tajemniczą zbrodnię? Ja w tym pomogę.

Marek Papała w wieku trzydziestu kilku lat został najmłodszym generałem w historii polskiej policji. Ówczesny minister spraw wewnętrznych, dzisiaj lider najbardziej wpływowego ugrupowania politycznego, kreowany na nowego premiera w najbliższych wyborach, nominował go na stanowisko komendanta głównego policji. Nominacja ta, nie licząc bardzo

młodego wieku nominowanego, nie była niczym niezwykłym. Każda siła polityczna dąży do tego, żeby w aparacie władzy mieć jak najwięcej swoich zaufanych ludzi. Marek Papała nadawał się do tego doskonale. Oprócz doskonałego przygotowania teoretycznego nie posiadał żadnego doświadczenia w zawodzie i był poza wszelkimi układami. Przepełniony ideami wyczytanymi w podręcznikach, naiwnie wierzący w uczciwość władzy i sprawiedliwość państwa demokratycznego, wierny i oddany ludziom, którzy kierowali j e g o karierą, był idealnym narzędziem w rękach swoich popleczników. W zderzeniu z rzeczywistością okazał się naiwny, bezradny, powierzone mu zadania przerastały j e g o możliwości, brak doświadczenia mścił się popełnianymi błędami. Wchodził w układy, z których po pewnym czasie nie potrafił się wycofać, a które nosiły znamiona przestępstw. Jak o główny policjant w kraju bardzo chętnie zapraszany był do zasiadania w zarządach spółek akcyjnych, które przez posiadanie w swoich zarządach ludzi tak wpływowych, jak generał policji, minister, dyrektor banku, zapewniały sobie bezpieczeństwo dla swoich nie zawsze legalnych interesów. Nie grupy złodziei, okradające transporty TIR-ów , ale właśnie takie przedsiębiorstwa, kierowane przez byłych pracowników służb bezpieczeństwa i ludzi z dawnej nomenklatury, z układami jeszcze z czasów socjalistycznej Polski, to jest prawdziwa mafia, ośmiornica, która swoimi mackami ogarnia całą gospodarkę i politykę naszego kraju.

Papale początkowo imponowały zaszczyty, którymi był hojnie obdarzany. Zajmował stanowiska w zarządach znanych spółek. Wymagano od niego j e d y n i e , aby j e g o nazwisko widniało na liście członków zarządu. Otrzymywał za to duże pieniądze. Były to pieniądze nie tylko za małe przysługi czy za nazwisko, ale również za milczenie. Gdy zorientował się, w jak i e g ówno wdepnął, próbował się wycofać. Ale czy ludzie, którzy przez

dziesiątki lat budowali swoje nielegalne imperia, mogli mu pozwolić odejść? Nie było żadnej gwarancji, że generał będzie milczał.

Szczególnie, że coraz częściej mówił o jak i ś podejrzanych sprawach, które chce ujawnić. Jeszcze na kilkanaście godzin przed swoją śmiercią próbował spotkać się ze swoim „ojcem chrzestnym”, człowiekiem, który mianował go głównym komendantem policji i który gdy był u władzy mógł gwarantować mu bezpieczeństwo.

Dzisiaj mówi, że dzięki Bogu nie spotkał się wtedy z Papała, bo być może również byłby podejrzewany o udział w zabójstwie generała.

Jeszcze próbowano „kupić” milczenie Marka Papały. Otrzymał w prezencie działkę budowlaną i środki na wybudowanie domu. Zaproponowano mu wyjazd do Brukseli na intratne stanowisko. Generał był „nieukładny”. W tym miejscu przypomina mi się historia innego generała, tym razem generała Wojska Polskiego, który w swoim czasie był najmłodszym generałem w naszej armii. Był to generał Mieczysław Dachowski, który rozumiał panujące wówczas układy i umiejętnie je wykorzystał. Do dzisiaj dzięki tamtym układom żyje sobie spokojnie, opływając w luksusy nie uzasadnione nawet zajmowanym kiedyś stanowiskiem. Jak mi wiadomo w j e g o mieszkaniu na Mokotowie wiszą obrazy znanych polskich artystów, które trafiły tam prosto z Muzeum Narodowego.

Natomiast generał Papała nie potrafił z istniejących układów korzystać. Zagubił się w tym wszystkim. Nie potrafił zdecydować się, po której ma być stronie. Nie mógł balansować na granicy dwóch „światów”. Zabrakło mu sprytu i wyobraźni. Ponieważ stał się niebezpieczny, musiał zniknąć.

Zapadła decyzja - generała trzeba się jak najszybciej pozbyć.

Ale kto ma to zrobić szybko i bezpiecznie? Tak, aby wszyscy zainteresowani wyeliminowaniem generała byli poza podejrzeniami.

I wtedy wybór pada na „Masę”, który w tym czasie był już współpracownikiem policji. Nie policja była na jego usługach, tak jak twierdził, ale to on był ich informatorem. Policja wystarczająco dużo wiedziała o jego morderstwach i gwałtach, aby zmusić go do współpracy. Tym razem poszli jeszcze dalej. Za obietnicę wykonania przysługi, jaką było zabicie generała, obiecali mu ochronę i bezkarność. „Masa” doskonale zdawał sobie sprawę, że zdrada i współpraca z policją nigdy nie zostaną mu przez środowisko przestępcze darowane, z drugiej strony groziło mu wieloletnie więzienie za popełnione zbrodnie. Musiał dokonać wyboru. A właściwie tego wyboru dokonał już w momencie, kiedy po raz pierwszy zgodził się być informatorem policji. Teraz miał skorzystać z ochronnego parasola, który mu proponowano. Miał już oficjalnie znaleźć się na liście stałych współpracowników policji, co gwarantowało mu bezkarność i ochronę. Nawet miał fikcyjnie zostać zrobionym świadkiem koronnym. Wtedy państwo musiałyby martwić się o jego bezpieczeństwo, zapewnić dach nad głową jego i jego rodzinie, martwić się, żeby nie ugryzł go komar, żeby nie spadł mu włos z głowy. A to wszystko za jedną niewielką „przysługę” - zabicie generała policji!

„Masa” podjął się wykonania zadania. Otrzymał szczegółowy plan, jak należy mordu dokonać. Potrzebny był tylko wykonawca. Z tym „Masa” nie miał problemu. Zawsze miał do dyspozycji swoich morderców, ludzi z byłego Związku Radzieckiego, z których usług nie raz korzystał.

Kim jest wykonawca morderstwa? O to trzeba zapytać „Masę”. Jeżeli będzie milczał, to ja powiem więcej. Jest w naszym kraju więcej takich niewyjaśnionych morderstw. Zabójstwo małżeństwa Jaroszewiczów, generała Papały, inne niewyjaśnione

do dzisiaj zbrodnie. Nie tak dawno zostaje zastrzelony były minister sportu Jacek Dębski. Czy to będzie kolejna niewyjaśniona zbrodnia? Kto będzie następny na tej liście? Premier? A może Prezydent? Po całym świecie ganiacie „Słowika” za to, że ukradł kilka TIR-ów papierosów, a pod nosem mordują wam kolejnych ludzi! Ja, człowiek poszukiwany listem gończym, nie mogę wyręczać was w wyjaśnianiu kolejnych zbrodni. Ilu jeszcze świadków koronnych potrzebujecie? Ilu skazecie niewinnych ludzi, żeby uspokoić opinię publiczną i rodziny pomordowanych? W prawdzie Premier Jerzy Buzek-już odwołał Lecha Kaczyńskiego z Jego stanowiska, ale jak o „Naczelnym Szeryf” symbolizuje On nadal funkcję szefa resortu sprawiedliwości, więc pozwolę sobie zadać mu publicznie takie oto pytanie: Panie ministrze Kaczyński, ilu jeszcze niewinnych ludzi zamknie Pan w więzieniu, żeby jak i ś czas później Pałiscy prokuratorzy odwoływali przypisywane im przestępstwa? Kiedy wskaże Pan sprawców nie wyjaśnionych do tej pory morderstw? Zamyka Pan ludzi tylko dlatego, że nazywa Pan ich wymyśloną przez siebie „mafią”, a mordercy bezkarnie chodzą na wolności. Niech Pan przestanie przypinać sobie do piersi kolejne ordery, tylko weźmie się do roboty. Niech Pan zostawi w spokoju „mafię”, a zacznie łapać morderców. Ginie Pański kolega z rządu, z którym zasiadał Pan do stołu na posiedzeniach Rady Ministrów. Co Pan zrobił, żeby złapać mordercę? Niech Pan się nie wysila, jak przedłużyć sankcję ludziom, których Pan do tej pory pozamykał, ale niech Pan wsadza do więzienia morderców! Prawdziwego mordercę nazywa Pan teraz świadkiem koronnym, zamiast posadzić go na ławie oskarżonych. Jeżeli Pan nie wie, jak to się robi, to niech się Pan zajmie czymś innym! W tym czasie, kiedy zamordowano generała Papałę, przebywałem w areszcie śledczym. Gdy wyszedłem na wolność zgłosili się do mnie „Masa” z „Pershingiem” z propozycją współpracy.

Ponieważ nie potrafili poradzić sobie z pewnymi sprawami, potrzebny im był ktoś o mojej „ksywie” i moim autorytecie w świecie przestępczym. Gdy ze swoimi interesami wyszli poza Warszawę okazało się, że nie są aż tak mocni, żeby sobie poradzić z konkurencją. - Zgoda, tylko co ja będę z tego miał, co dostanę w zamian?

I wtedy „Masa” z „Pershingiem” wyjaśniają mi szczegóły swojej współpracy z policją. „Masa” mówi o ochronie, jak ą gwarantuje mu policja, o spreparowanych aktach w policyjnych archiwach, według których jest on oficjalnym współpracownikiem urzędu bezpieczeństwa do zwalczania przemytu narkotyków i nielegalnego handlu bronią. W zamian musi wykonać czasami „przysługę”, taką jak na przykład zabicie generała Papały. Mówi o tym z dumą, chełpi się tym, co zrobił. Ja mam działać na podobnych zasadach. Otrzymam oficjalną ochronę, tylko w zamian będę musiał czasami pomóc temu mordercy w jego poczynaniach. Różnica była tylko taka, że on za ochronę zabił generała, a ja miałbym zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jak ą ten morderca dałby mi gwarancję, że ja dzisiaj zapłacę pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a on jutro nie przyjdzie do mnie i nie powie, że bym tym razem j a zabił jakiegoś polityka.

Nie mogli darować sobie mojej odmowy. Zdradzili się przede mną i od tego momentu byłem niewygodnym świadkiem ich podwójnej gry. Już w trakcie pisania tej książki dowiedziałem się, że przygotowali na mnie zamach.. Przy okazji jakiejś innej sprawy aresztowano człowieka, który miał przy sobie szczegółowy plan zamordowania mnie. Miał go dokonać w czasie, gdy po operacji kręgosłupa i wyjściu z aresztu przebywałem na rehabilitacji w sanatorium. Zabójstwo „Pershinga” i aresztowanie „Masy” być może uratowały mi życie. Za odmowę współpracy z nimi miałem zapłacić najwyższą cenę.

Czy w rozwiązaniu tajemnicy zagadkowej śmierci generała Papały mógłby pomóc Pan Leszek Miller, który jak o jeden



z pierwszych pojawił się na miejscu zbrodni? Może wykorzystałby swoje wpływy i możliwości i dopomógłby w rozwiązaniu tej tajemnicy, z którą obecny rząd nie potrafi sobie poradzić? Może Pańskie deklaracje poprawy bezpieczeństwa nie pozostaną bez pokrycia i poza takimi spektakularnymi pomysłami, jak uzbrojenie społeczeństwa, uda się Panu rozwikłać tę zagadkę. Czy Pan Miller zechce w rozwiązaniu tej zagadki skorzystać z mojej pomocy, którą to pomoc odrzucił były minister sprawiedliwości Lech Kaczyński? Może zaowocowałyby to wyjaśnieniem wielu podobnych, niewyjaśnionych do dzisiaj spraw, jak na przykład morderstwo Piotra i Alicji Jaroszewiczów. Wiadomość o morderstwie małżeństwa Jaroszewiczów wstrząsnęła opinią publiczną. Sprawa była szczególnie bulwersująca za względu na wyjątkowe okrucieństwo, z jak im dokonano tej zbrodni. Wszyscy zastanawiali się nie tylko nad tym, kto to zrobił, ale dlaczego zrobił to w sposób tak okrutny. Śledztwo prowadzone było w sposób bardzo nieudolny. Co chwila do prasy docierały informacje o kolejnych błędach popełnianych przez służby śledcze w trakcie zabezpieczania śladów na miejscu zbrodni. Policja była coraz bardziej krytykowana za swoją nieudolność. Domagano się jak najszybszego wykrycia motywów zbrodni i jej sprawców. Ze względu na pogłoski o rzekomym bogactwie byłego premiera jeszcze z czasów PRL, najczęściej mówiono o motywie rabunkowym. Dla uspokojenia opinii publicznej i z powodu niewykrycia faktycznych sprawców, aresztowano i oskarżono o dokonanie zbrodni niewinnych ludzi, którzy nie byliby w stanie takiej zbrodni dokonać. Ludzie ci przez dwa lata traktowani byli przez prokuraturę jak najgorsi zbrodniarze. Zrujnowano ich życie osobiste i zawodowe. Pozbawiono czci i godności. Ich życie zamieniono w koszmar. Przez dwa lata, dzień po dniu, nazywano ich mordercami i jak morderców traktowano. Zresztą po

dwóch latach od ich aresztowania prokuratura przyznała się do pomyłki. Doszło do sytuacji bez precedensu w dotychczasowej historii polskiego wymiaru sprawiedliwości - na oczach milionów widzów sam prokurator wystąpił z wnioskiem o uniewinnienie oskarżonych. Ale czy ktoś próbował przynajmniej ich przeprosić? Czy jest jakiś sposób zrehabilitowania im krzywd, których w tym czasie doznali? W sposób tak beztrzeski oskarżeni, do końca życia będą ponosić konsekwencje czyjejś nieodpowiedzialności. Czy takie postępowanie urzędników państwowych może uchodzić im bezkarnie?

Dla mnie ta sprawa miała w pewnym sensie wymiar osobisty. Doskonale znałem Andrzeja Jaroszewicza, którego poznałem przez świętej pamięci Władka Komara, mojego wieloletniego przyjaciela. W czasach, gdy Piotr Jaroszewicz był premierem w rządzie komunistycznym, jego syn Andrzej nosił przydomek „Czerwony Książę” ze względu na styl życia, jak i prowadził. Wielokrotnie zdarzało Mu się przegrać w kasynie duże sumy pieniędzy i będąc z tego powodu w kłopotach finansowych, zwracał się do mnie o pożyczki.

Drugi powód mojego zainteresowania tą sprawą miał charakter nazwijmy to komercyjny. Ze względu na pogłoski o bogactwie Jaroszewiczów byłem ciekaw, jak duża kwota została zrabowana. Wszyscy spekulowali, jak ogromne bogactwa padły łupem złodziei i dlaczego Jaroszewiczów potraktowano w sposób tak okrutny? Nie było w zwyczaju złodziei, nawet tych najbardziej bezwzględnych, mordowanie właścicieli okradanych domów. Już samo to poddawało pod wątpliwość rabunkowy motyw zbrodni.

Zawsze w przypadku jakiś spektakularnych kradzieży, gdy ofiarami złodziei padali znani ludzie, dużo się o tym w światku przestępczym mówiło, zawsze krążyły jakieś plotki, domysły, informacje.

Zawsze z czasem ktoś się pochwalił wyczynem, padały

szczegóły dotyczące okoliczności takich rabunków i wysokości skradzionych kwot. Natomiast tym razem, poza domysłami, panowała całkowita cisza. Było to bardzo zastanawiające i dawało wiele do myślenia.

Zacząłem prowadzić swoje prywatne śledztwo i analizowałem każdą informację, która do mnie docierała. Nikt nic nie wiedział o mordercach. Żaden, nawet najmniejszy „fant” z napadniętego domu nie pokazał się na rynku. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że Państwo Jaroszewiczowie nie zginęli z powodów rabunkowych, ale że musiała być jakaś inna przyczyna ich śmierci. A że się nie myliłem, miałem się przekonać już wkrótce. Pewnego dnia zatelefonował do mnie „Masa” i poprosił o spotkanie w Marriottcie, gdzie najczęściej mieliśmy w zwyczaju się spotykać. Na spotkanie przyszedł w towarzystwie nieznanego mi człowieka. Przedstawił mi Go jako swojego wspólnika z Rosji, z którym prowadzi interesy. Nigdy nie było moim zwyczajem zadawanie zbędnych pytań, więc i tym razem nie pytałem o nic więcej. Gdyby „Masa” uważał, że powinienem wiedzieć, kim jest jego kompan, na pewno by mi Go przedstawił bardziej szczegółowo. Natomiast w sposób stanowczy doradzał mi, abym zaprzestał interesować się śmiercią Jaroszewiczów, bo będę dzięki temu zdrowszy. Odebrałem to jako groźbę z jego strony. „Masa” po raz pierwszy odważył się zwrócić się do mnie w ten sposób. I na tym praktycznie zakończyło się nasze spotkanie. Żadne inne słowa już tam nie padły.

Spotkanie to nie dawało mi spokoju. Następnego dnia zadzwoniłem do „Masy” i poprosiłem o wyjaśnienia. Co znaczyła jej groźba? Dlaczego miałem przestać interesować się śmiercią Jaroszewiczów? Kim był człowiek, z którym przyszedł na spotkanie?

Odpowiedź „Masy” zaskoczyła mnie całkowicie. - To był człowiek z K G B , a nie podoba im się, że tak bardzo interesujesz się tą zbrodnią.

W tym samym czasie przyjaźniłem się ze znanym i bardzo cenionym jasnowidzem Jackiem Jackowskim. Jego sława i autorytet są tak wielkie, że współpracuje nawet z policją i do dzisiaj pomaga im w rozwiązywaniu wydawałoby się beznadziejnych spraw. Wielokrotnie wskazywał miejsca ukrycia ciał poszukiwanych ofiar zbrodni. Policja nie ukrywa współpracy z nim i nie wstydzi się tego. Przez długi czas przyjaźniliśmy się, często był gościem w moim domu, nie raz nocował u mnie, a nawet raz pojechaliśmy razem na wczasy do Zakopanego do hotelu „Kasprowy”.

Dosyć sceptycznie podchodziłem do jego „wizji” dotyczących mojej osoby, raczej wolałem, żeby swoje umiejętności sprawdzał na innych. Ale ponieważ byłem już po rozmowie z „Masą”, a cała sprawa śmierci Jaroszewiczów nie była dla mnie tak do końca wyjaśniona, postanowiłem u niego szukać potwierdzenia moich domysłów i wiarygodności informacji, jak ją otrzymałem od „Masy”. Poprosiłem Go o „wizję”. Cały spocony i zdenerwowany potwierdził swoją „wizję” że ludzie, którzy są posądzeni o dokonanie tej zbrodni są niewinni i zostaną po jakimś czasie wypuszczeni na wolność. Co więcej, zbrodnią tą obciążył służby specjalne sąsiedniego kraju. Dodał również, że jest to tylko jedna z wielu zbrodni popełnionych w ostatnim czasie na przywódcach państw byłego obozu socjalistycznego. Już nigdy więcej nie chciał o tym ze mną rozmawiać.

Sprawa tajemniczej śmierci tak zwanego „Pancernika”, właściciela agencji ochrony o tej samej nazwie. „Pancernik”, były oficer urzędu bezpieczeństwa, komandos i zawodowy nurek, topi się podczas nurkowania na wakacjach nad Morzem Śródziemnym. Okoliczności tego zdarzenia nie zostały do dzisiaj wyjaśnione. Wiadomo natomiast ponad wszelką wątpliwość, że „Pancernik” i „Masa” to byli wspólnicy w interesach. Swego czasu „Masa” ściągał haracze z lokali, dyskotek, agencji towarzyskich, barów, klubów nocnych. Zgłaszał się do właścicieli tych

przedsiębiorstw i terroryzował ich. Opornych straszył, a nawet podkładał im bomby. Wkrótce po wizycie „Masy” zgłaszał się „Pancernik” jak o właściciel agencji ochrony i oferował legalną ochronę i gwarancję bezpieczeństwa. Interes rozwijał się doskonale.

Ale w pewnym momencie, gdy w grę wchodziły już duże zyski, „Pancernik” postanowił wycofać się ze spółki. „Masa” nie chciał się na to zgodzić. Jak i jest jego udział w utonięciu „Pancernika” publicznie nie wiadomo do dzisiaj, a ja na pewno wiem, że „Masa” wie.

## Gangster na psiej smyczy

Na liście osób zagrożonych zeznaniami Jarosława Sokolowskiego, ps. Masa, wśród gangsterów, polityków i biznesmenów znalazł się też policjant Piotr Sikora (nazwisko zmienione). Był szef wydziału XV Centralnego Biura Śledczego (czyli warszawskiego oddziału CBS) od stycznia 2001 r. siedzi w olsztyńskim areszcie. Wez wcześniej Masa był jego agentem, wtyką w gangsterskim światku. Dzisiaj agent zmienił się w świadka koronnego, który oskarża policjanta.



Dla „Masy” „pracowało” wielu policjantów, czasami bardzo wysokich rangą i zajmujących odpowiedzialne stanowiska. Za łapówki dostarczali mu informacje, do jak i c h mieli dostęp. Bardziej wpływowi gwarantowali mu poczucie bezpieczeństwa.

Nie było w tym n i c dziwnego, ponieważ zjawisko korupcji w polskiej policji jest powszechne, i to na wszystkich praktycznie szczeblach. Ale w pewnym momencie „Masa”, czy to poprzez zastraszenie, czy poprzez obietnicę nietykalności, podejmuje współpracę z policją. Zdradza

swoich kolegów i przyjaciół i zaczyna prowadzić podwójną grę.

Za obietnicę zwolnienia z odpowiedzialności za popełnione przestępstwa, a nawet nie boję się powiedzieć - zbrodnie, podejmuje współpracę z policją. Współpracę z policją podejmuje nie Jarosław Sokołowski ksywa „Masa”, ale „Miękką dupa”, bo taki pseudonim otrzymał od policjantów.

Trzy lata trwała współpraca „Miękkiej dupy” z policją.

Po wprowadzeniu instytucji świadka koronnego „Miękką dupa” ujawnia swoją współpracę i już oficjalnie postanawia świadczyć przeciwko swoim znajomym i bliskim. Zdradził te wszystkie ideały, dzięki przestrzeganiu których mógł żyć w dobrobycie. Wielokrotnie miał szansę zejść z drogi przestępstwa, ale nie chciał się nawrócić, zabrakło mu wyobraźni i dobrej woli. Nie wiem, czy teraz wystarczy mu odwagi, aby pójść drogą Judasza, który po sprzedaniu swojego Pana, dręczony wyrzutami sumienia, postanawia sam wymierzyć sobie karę. Ze splamionymi krwią Chrystusa srebrnikami wraca do Żydów, rzuca im pieniądze w twarz, a sam wieszka się na drzewie w swoim domu w momencie, w którym jest ukochany Pan przybijany jest do krzyża. Sam ocenia swoje winy i sam decyduje o wysokości kary. Wie, że pogardzany byłby nie tylko przez przyjaciół, których zdradził, ale i przez Żydów, od których przyjął srebrniki. Nie czeka na potępienie, sam potępia swój czyn i sam wybiera karę.

Godzina piąta rano. Do drzwi mojego domu w Warszawie ktoś puka. Terroryzują moją żonę. Odbierają mojego trzymiesięcznego synka od piersi swojej matki. Zaczyna się moja ponowna Kalwaria. Za co ja jestem poszukiwany? Czy za to, że znam tego czy owego? Czy za to, że ktoś bezpodstawnie chce sobie przypiąć medal na klapie marynarki, za to, że kiedyś zrobiłem to, co zrobiłem? Sam dzisiaj nie wiem, za co! Mogę na

wszystkie domniemania szczerze odpowiedzieć, bo w dniu dzisiejszym sumienie moje jest podobne do sumienia mojego rocznego syna. Nie chcę odpowiadać na pytania ministra Kaczyńskiego z więziennej celi i celem mojej książki jest to, żeby wszyscy zrozumieli, że przeszłość to nie teraźniejszość. Wszyscy pytają mnie, dlaczego napisałem tę książkę? Nawet kilka dni temu znany polski prominent zatelefonował do mnie z tym pytaniem. Jemu i wszystkim pozostałym chciałbym odpowiedzieć słowami Juliusza Słowackiego, który w swoich podróżach dotarł z Neapolu do Ziemi Świętej i w miejscu, w którym znajduje się Grób Jezusa Chrystusa wypowiedział te słowa: „Skarżyłem się Grobowi, a skarga ta była ani przeciw ludziom, ani przeciw Bogu”.